Nr. 6. Lwów, dnia 1. Czerwca 1878. Rok I.

ŁOWIEC

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

PRZEDPŁATA
półroczna . złr. 2·50
roczna . . „ 5·—

Członkowie Towarzystwa odbierają bezpłatnie.

O polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim

przez
Józefa hr. Dunin Borkowskiego.

Łowiectwo należy do najstarożytniejszych zatrudnień człowieka. Najpierwsze pokolenia ludzkie otoczone dzikiemi zwierzęty musiały z niemi walczyć to broniąc się od ich napaści, to potrzebując skór i mięsa lub ciał na obiaty bogom, to podbijając je pod swoje panowanie, to obierając siedliska w miejscach ich przytułku. Dla pierwszych więc ludzi łowiectwo było potrzebą; oni to idąc w codzienne zapasy ze zwierzęty, tworząc prawie jedno z niemi towarzystwo, znali dokładnie ich istotę i nie tylko je ponazywali, ale przymioty ich, ruchy, głosy, w słowach oddali — oni to są twórcami języka łowieckiego, który w owych czasach nie nosił tej oddzielnej nazwy i dopiero wtedy ją przybrał; kiedy świat łowiecki przestawszy być sceną powszechnego życia ludzkiego stał się tylko miejcem zabawy. Jak wszystko co w odległej starożytności powstało, jak n. p. staroświeckie poezye tak i język łowców był zwierciadłem przyrody a słowa jego wiernem malowidłem przedmiotów. Później gdy ludzie odwykając obcowania z przyrodą coraz mniej ją pojmowali, jeszcze później gdy nauki przestały, że tak powiem, wyrastać z serca narodów, ograniczane ciasnemi prawidłami pokojowych literatów, straciła przyroda w ich mowie barwę, głos i życie. Wówczas i prawda gubić się zaczęła i człowiek ciemniejszą stawał zagadką. Pierwszy raz sił swoich doświadczyli zapewne ludzie na zwierzu; bohatyrami nazywano tych, którzy wytępiając szkodliwe zwierzęta stawali się użytecznymi ludzkości i w istocie są oni w pierwszych wiekach, czem w późniejszych rycerze i wojownicy. Takimi byli heroy greckie Herakles, Perseos, Bellerofon i inni, takimi w średnich wiekach Syfrit i Sankt Jörg, takim był nasz Krakus. Dobrze się zasłużyli ludowi; pochwałami ich brzmiały biesiady, obchodzono na cześć ich święta, czyny ich ubrał duch ludu w urocze poezyi szaty, w których nam we mgle wieków jak fantastyczne obrazy nadzwyczajnego męstwa, rzadkiej zręczności i wielkich sił fizycznych jaśnieją.

Słowianie od niepamiętnych czasów trudnili się łowiectwem, czcili boginią łowów, mieli rozmaite bóstwa leśne. W Polsce według świadectwa latopisarzy polowania są bardzo stare. Bractwa strzeleckie bywały w Krakowie, Warszawie, Poznaniu i we Lwowie. — W szkole strzeleckiej z dawna istniejącej w Krakowie strzelano z łuków, kusz i rusznic do kurka (koguta) drewnianego, a kto go zestrzelił, robiony był na cały rok królem kurkowym i otrzymywał różne przywileje. Strzelanie, albo jak dawniej lepiej mówiono, strzelbę, uważano kunsztem rycerskim a ćwiczenie się w nim za przyzwoite mężowi. Prawie wszyscy królowie polscy lubili łowy, niektórzy większą część czasu na nich trwonili, jak August III. I szlachta polska lubiła polowanie i używała różnych jego rodzajów, bądź z drapieżnemi ptaki, bądź z psami, bądź innych; odbywano je niekiedy z wielką wystawą i tu nieraz jak w wielu innych rzeczach czyniono zbytki ze szkodą własną i kraju. Były i niewiasty podzielające z mężczyznami przyjemność polowania Śród takich okoliczności dojrzewał język łowiecki polski, *) nosi on niezaprzeczoną cechę dawności; słowa, któremi objawił myśli natury, obrazy w których ją zmysłowie przedstawił, czynią go poetyckim. Wiele zapewne słów zatrzymał jeszcze z czasów pogańskich, inne ustąpiły miejsca późniejszym, inne znowu weszły bogacąc tylko język, wiele może zaginęło, wiele dotąd nie zebranych błądzi po ustach starych myśliwych. Dziś łowy rzadsze, język łowiecki widocznie zaumiera, bo młodzi myśliwi często z języka swego ledwie kilka słów umieją; dawniej taka obojętność była naganną i karaną, i nieraz modny paniczyk wszedłszy w świat łowiecki dostał sforami na zwierzu albo okupić się musiał za nieumienie języka łowców albo za spudłowanie (chybienie) niedzwiedzia lub dzika, z któremi się potykając ojcowie jego drwili z tatarskiego tańca i żadnej kuli nie puszczali darmo na wroga. Niektóre obce narody mają podobne języki. Język niemiecki-łowiecki, acz piękny, nie wyrównywa naszemu. Przystępujemy teraz do części składowych polskiego języka łowieckiego; może nie wszyscy uczują, jak byśmy radzi, całą piękność mowy myśliwych przodków naszych, płeć piękna szczególniej, mimo to jednak pisaliśmy w przekonaniu, że i rzecz najdrobniejsza na ziemi ojczystej powstała, obojętną być nie może i być nie powinna.

Są różne rodzaje polowania jako: *obława*, *czaty*, *podsłuchy* i t. d. Polowanie nazywa się *polem*. *Czarne pole* jest polowanie na dziki; *szklanne*, *wodne*, *legawe pole*, albo *brodzenie*, polowanie na lotną wodną zwierzynę. *Dodniówką* nazywa się zaranie i polowanie w zaranie, najpowszechniej używane na

*) Są i inne języki jako gospodarski, rzemieślniczy, rzeźnicki, flisowski, rybacki, i t. d., ale pono uboższe od łowieckiego. Gdybyśmy wszystkie ich słowa zebrane mieli, zbogacilibyśmy naszę mowę a zarazem przekonali się, że nam wiele rzeczy dawno znajomych było, na których oznaczenie dziś słabszych, a często cudzoziemskich używamy wyrazów. Kwitnienie niektórych roślin nazywa się: pszenicy, sypaniem; hreczki, rzucaniem kaszki; kukurudzy, przędzeniem; dziewanny, wypatrzeniem. Kolano u rzeźników, królewski nos; skrzydła wiatraku są zmigi; mleko zaraz po ocieleniu krowy, siara; naczynka, faszerowanie.— Kołbań, miejsce legowiska sumów, szarenów.

lisa; *wieczorką* polowanie wieczorne. *Ostre pole* ziemia grudowata; *mówiące, widne pole*, ziemia na której znać ślady; *ślepe pole*, gdzie ich nie znać; *srokate, mieszane pole*, ziemia gdzieniegdzie śniegiem pokryta; *dzikie pole*, pustynia. *Wysoki las* jest las z drzew wielkich; *niskim lasem*, są krzaki; *knieja podszyta* t. j. krzewiną porosła; *ponowa*, ranny trop zwierza na śniegu; *hasłem* jest trąbienie. *Czarną zwierzyną* nazywają się dziki; *płową*, jelenie; *lotną*, ptaki. *Pole zakładać* znaczy polowanie zaczynać. Zwierzęta są *miejscowe* albo *domowe*, albo *przechodnie*.

Pies, istota zadziwiającej pojętności, stróż człowieka, przyjaciel dzielący z nim stale wszystkie losu koleje, towarzyszy mu i na świecie łowieckim; tu on rozwija różne swoje przymioty, tu prawie każdy ruch jego ciała, każdy odcień ducha znajduje nazwę i nieśmiertelność w słowie: tu mu się człowiek moralnie najwięcej odwdzięcza. Różne ma nazwy, to gatunkowe jako: brytan, kondel, ogar, chart, gończy, wyżeł, jamnik, pijawka; to przymiotowe jako *mistrz*, bardzo zręczny; *bałamut*, goniący lada co głosem; *bydlarz*, porywający się do bydła; *zapaśnik*, *łgarz*, i t. p. to według kształtu, barwy, głosu, albo usług jakie pełni np. *szpilka*, *pałasz*, *cygan*, *płaczek*, *gęśla*, *duda*, *podsokoli*, *postrzemienny*. Głowa jego jest *twarzą;* pysk *trąbą;* zęby u charta, *szpilki;* ogon, *kitą*: *czuch*, albo *pach*, albo *wiatr*, powonieniem; przymioty, *cnotą;* odzywanie się goniąc, *graniem;* lata, *polem*. — Pies *spąchiwa*, to jest poczuwa zwierza; *rusza*, wypędza; *goni po zwierzu*, po tropie, albo na *oko*, kiedy gra postrzegłszy tylko; *zławia*, odzywa się nie widząc zwierzyny; *zaciera*, gubi ślad: *unosi się*, za ślad wybiega; *wiatrem goni*, tylko za wyziewem zwierzęcia w powietrzu rozlanym; *trzyma*, długo goni; *ucina*, przestaje gonić; *zalewa się*, pysk w rosie macza; *dłubie*, źle goni; *zbija*, jeden drugiego przegania; *wyrzuca*, wyprzedza inne; *na przełaj idzie*, zachodzi drogę zwierzynie; *bucha*, w śnieg zapada; *kopnął się*, wyskoczył z śniegu lub jamy; *pudło* (mydło) *wozi*, z tyłu zostaje; *dociera*, dogania; *pracuje*, albo już *dopracował się*, dogonił. Wyżeł *waruje*, *boruje*, na brzuchu się kładzie; *dzwoni*, ogonem macha; *mamla*, ino oszczekuje zwierzynę; *znosi*, przynosi z wody. Psy się odzywają różnymi głosy na rozmaitego zwierza, to *grubszym*, to *cieńszym*, *altem*, *basem*, *dyskantem*, *drżąco*, *rzewnie*, *zapalczywie*, albo *cukrują* t. j. głosem przyjemnym; na lisa żarliwiej grają jak na zająca, za pierwszym pospolicie *sznurem* t. j. linią prostą, za drugim krzywo gonią. Charty się *smyczą;* gończe *sforują;* kondle *drążkują*. *Zgraja*, *łaja*, jest psów gromada; *luzem* idą, kiedy nie powiązane. *Pancerz* jest ubior na piersi zabezpieczający je od dzika; *pierścień*, *naszyjnik*, kolczata obroża. *Wprawa*, nauka psom dawana. *Odprawą* są skoki zajęcze, chleb w kostki krajany lub inny pokarm dawany psom po uszczuciu zwierzyny; *nawara*, pokarm zwyczajny robiony z mąki owsianej z dodaniem chleba, nóżek baranich lub mięsa. Uważać należy, aby psy regularnie jeść dostawały i czystą wodę miały i najochędożniej były utrzymywane. Pies w *koszyku leży* kiedy w kółko zwinięty wypoczywa; dobry i zdrowy pies w gorącu rozciągnięty a w chłodzie w koszyku leży. *Kotłowy* jest dozorca psów i wprawiający je. Suka po zapłodnieniu przez trzy tygodnie używaną być może; z młodemi bardzo ostrożnie postępować należy aby nie zrazić, nie osłabić, a zawsze z dobrymi psami układać. Psy miewają rozmaite choroby jako *febrę;* *skwinancję*, zapalenie gardła; *splec*, gatunek kurczu z zaziębienia, na który spirytusy rozgrzewające pomagają; *podbicie*, na które kąpiel ciepła pomocna; *parchy*, dobra na nie woda z liści orzecha włoskiego wygotowana, lub maść siarczana; *weszkę*, którą wycierają prochem strzelniczym; *rany, z których* się zwykle same wylizują i ztąd nasz sposób mówienia wylizał się; *wytecz*, wykrzywienie nóg; *wścieklizna*, *krwotok*, *kaszel*, *robaki*, *nosacizna* — lecz nie tu miejsce obszerniej się nad tem rozwodzić.

Zając najpowszechniej zwany *kotem*, ma i inne nazwy, jako od ubarwienia *bielak*, *szarak;* od pory roku: *marczak*, *wrześniak*, przytem *ślepak*, *wytrzeszczak*, *śpiuch*, *skotak*, *korpal*, *koszlon*, *wacho* (może od niemieckiego wachen). *Gachem* jest w porze miłostek. Oczy jego są *wytrzeszcze;* uszy, *słuchy;* zęby *strugi;* wąsy, *strzyże;* nogi, *skoki;* ogon, *kosmyk*, *osmyk;* okryty *kożuchem* a na Rusi *smużkiem* Tłuszcz jego jest *skromem;* sierść *turzyca;* miejsce legowiska *kotlina;* miejsce zabaw w nocach miesięcznych i zabawy same, *kołem;* *wrzeszczy*, *kniazi*, a w czasie miłostek *muska*. W biegu swoim *kluczy*, albo *robi klucze* t, j. miesza tropy; *susa*, przesadza rowy; *chica*, wyskakuje; *łamie*, bałamuci charty; *robi susy;* *stawia słupki;* *majaczy;* krąży w około; *przycupa*, przypada do ziemi albo w krzak; *kołkuje*, staje w miejscu i słucha; *wysworywa się*, wychodzi na miejsce gdzie łatwiejsza ucieczka; *ćmi*, bardzo daleko się pokazuje; *miga*, pokaże się i znika; *szusta*, zapada w śnieg; *modli się*, kiedy otoczony chartami; *kica*, bieży powoli; *kipi* albo *kładzie się po sobie*, zmyka w całym pędzie; *prosi się*, kiedy pod wsie w zimie podchodzi, a polowanie wtedy: *na proszonego;* *łapy liże*, uciekł. Jest albo *żakiem*, niezręcznym, albo *graczem*. Ślad jego dobrze oznaczony jest *ścieżką*, a miejsce, kędy przemyka, *przesmykiem*. Ogrodowinę *stryże*, *wystrzyga*, psuje.

Lis jest *psem;* zakradający się do kurników, *kurnikiem;* wychodzący zawsze o świcie *zorzanem;* pysk jego, *nosem;* ogon *kitą*, albo *łopatą;* nogi, *stawki;* *dynduje* t. j. biega; *myszkuje*, poluje na myszy; *składa psy*, zwodzi; *chojca się*, zbliża ukradkiem; *znika*, w jamę się kryje.

Jeleń jest *bykiem* albo *rogalem;* oczy jego, *świece;* uszy, *łyżki;* nogi, *badyle;* rogi mu nie odrastają ale *wieniec wkłada* i przyozdabia *gałęziami*, *perłami*, *różą*, *pierścieniem*, *mchem*, *które* są częściami wieńca; *roguje*, bije rogami. Sarna jest *kozą;* samiec sarny *sarniec* albo *cap;* u niej ogonem *kwiatek;* nogami *cewki*; na tyle ma *serwetkę* albo *chusteczkę* t j. znak biały; bieg jej *drzeniem* albo *podrzeniem*.

Wilk jest *basiur* albo *dziki pies*, albo z łacińskiego *lupur;* porywający się do tęższych koni, *kobylarzem*, albo *kobylakiem;* zgłodniały, *zbójem;* głowa jego *latarnią;* oczy, *lampami*, na Rusi *kagańcami* *) zęby, *klańcami*, a dzwonienie zębami, *kłańcanicm*; ogon, *polanem*, *wiechą*, *kądzielą*; głos *wyciem* albo *trąbieniem;* *skrada się*, podchodzi pod bydło; *wynosi*, zajada; *cupie*, obces się rzuca; *zaświeca*, w nocy pokazuje się; *korowodzi*, gromadnie chodzi; *zaumiera*, zaczaja się postrzelony; *bebni* po strzale zaraz pada.

Dzik jest *odyńcem;* roczniak *pojedynkiem;* młody *warchlakiem;* samica *lochą* lub *samurą;* inaczej zwany *błociarzem*, *smolakiem*, i t. p. według miejsca lub zatrudnienia; ryjak jego *gwizdem*; ma *pióra* zamiast szczeciny; *szablę* zamiast kła, którą *obcina*, kaleczy, a myśliwy ostrożnym być powinien, kiedy *idzie na dym* t. j. po wystrzale na strzelca. *Odzywa* się *gwizdaniem*, *gruchaniem*, *kwikaniem*, *grzechotaniem*, *szumem* albo *krzykaniem*. *Buchta*, miejsce poryte przez dzika; miejsce przechodu *droga*.

---

*) W tebe oczyszcze, kahańczyszcze,
W tebe fotyszcze, kudełyszcze, u ciebie oczyska, kagańczyska, u ciebie ognisko, kądzielisko — z pieśni gminnej ruskiej, w której rozmawiając koza z wilkiem tak mu przymawia.

Niedźwiedź jest *włochacz* albo *miś* lub *misio;* miód wykradający *bartnik;* młody niedźwiedź, *piastun*; łapa jego *plackiem* albo *łopatą*; włos *kudłami*; chód, *telepaniem*, *łazem*, głos, *rykiem*, *porykiem*, *hukiem*, *mową*; miejsce legowiska *domem* albo *złomem; wodzi za pasy*, boryka się; *stawia drabinę*, spina się na przednich łapach; *wichrzy*, *strzela*, miota kamienie, drzewo; *pieści* albo *ściska*, dusi; *zamiata*, do koła się broni.

Borsuk jest *norem* albo *jaźwcem*; suseł *świszczkiem*; łasica *strzałą*; a jej mieszkanie *dupłeu*. Na żubra czole skóra włosem okryta jest *wirem* a grzywa jego *kądzielą*. Bobra ogón *kielnią*; tłuszcz *strojem*, głos *kwileniem* lub *świstaniem*, miejsce osady *żeremiem*.

Krew zwierząt jest barwą (farbą); dzika *posoką*; niedźwiedzia *juchą*. Ubarwienienie w ogólności zwierząt i ptaków nazywa się *suknią*; ziobra, *piórami*, wnętrzności, *patrochami*; grzbiet *combrem*; bok, *połciem*; węch, *wiatrem*; stado, *chmurą*. — Wielki zowie się *mocny*; piękny, *dobry*; chudy, *cienki*; postrzelony, *chory*; dobrze się broniący, *cięty*. Zając tłusty jest *skromny*; jeleń, *kraśny*; dzik, *sadlisty*. O ptakach mówi się, że są *oblane* albo *żerne*, co niektórzy i do zwierząt stosują; kuropatwa *pyszna* albo *piczna*; gęś *zażywna*, *sytna*. Śladem zwierząt jest *trop*, *szlak*, *sznur* albo *pęd*. Miejsce ich przebywania *koczowiskiem*, *żerowiskiem*, *leżą*, *legowiskiem*.

Przechodzimy do lotnej zwierzyny. Ptaki są albo *miejscowe* albo *przelotne* t. j. odlatujące na zimę, albo *tułające się* jak wrony, kawki; inne *zimowe* jak śnieguły. Niektóre ptaki mają różne nazwy bądź gatunkowe, bądź przymiotowe; dzikie kaczki są: *krzyżówki*, *cyranki*, *podgorzałki*, *podlotki*, *łyski*, *kozy*, *nurki*; noga dzikiej kaczki jest *wiosłem*, połyskujące na skrzydłach pióra, *zwierciadlem*. Bekas jest: *dubelt*, *krzyk*, *baranek*, *słomka*, *kulik*, *kuliczek*, *samotnik* i t. d. Drozd: *paszkot*, *kwiczoł*, *kos*, *zawojec*, *średniak*. Jastrząbka gdzieniegdzie zowią *kogutkiem*; kuropatwa jest *kurą* albo *starką*; dziki gołąb' *grzywaczem*; turkawka, *gołąbkiem*, *kwilotem*; drop' *indykiem*, bieg jego *unoszeniem*; dzięcioł, *kowalem*; bocian, *bociem* albo *boćkiem* lub *buśkiem* (po rusku *czornohus)*; dzika gęś, *gąską*. — Ptaki *jadą* t. j. latają; *padają*, *okrywają*, siadają; *biesiadują*, przebywają; *wędrują*, w jesieni odlatują; *koczują*, przebywają gromadnie; *błąkają* lub *błądają* z miejsca na miejsce się przenoszą; *wiszą* kiedy na powietrzu w jednem miejscu się ważą; *są w krzyżu* np. jastrzębie kiedy rozciągniętemi skrzydły *krzyż* tworzą; *paprzą*, grzebią; *kąpią się* tarzają w piasku; *furnają*, raptem odlatują albo zrywają się; *brykają*, *odjeżdżają*, nietrafione ulatują; *wiosłują*, pływają; mogą być albo *obarczone*, postrzelone, albo *koziołkować*, przewracać się w powietrzu, albo *spaść z dymem*, *upaść kamieniem* t. j. spaść zaraz po strzale; *opierzyć* znaczy tak strzelić, że się tylko pierze z ptaka posypie. Ptaki *przeoczają*, przez sieć uciekają i nie chwytają, ale *łamią* inne ptaki. Lot słomki jest *przeciąganiem*; krzyka *wymykiem*; derkacza i przepiórki *uskokiem*; kuropatwy i dropia *bieganiem*; dzikich gęsi i kaczek, żórawi, *ciągiem*; dzikich gołębi, siewek, turkawek *obłokiem*, *chmurą* kiedy lecą gromadnie. Piękne ubarwienie ptaków jest *ubraniem*; skrzydła ich są *loty* albo *żagle*; miejsce ich padania *siadłem*, *ziarnikiem*, *żerowiskiem*, *tokiem*, *paprzą*; gniazdo drapieżnego ptaka, *pieleszem*; czas zbierania się ptaków, *zloty*. Młoda gęś, kaczka albo kuropatwa mało co upierzona zowie się *farbówką*.

Polowania z drapieżnymi ptaki należą do najdawniejszych; używano u nas orłów, sokołów i różnych ich gatunków, jako: białozorów t. j. sokołów bielejących na starość, kobuzów, rarogów, krogulców, jastrzębi, bądź krajowych bądź zagranicznych. *Gniazdowiec* jest ptak z gniazda wzięty; *gałężnik*, który dopiero z drzewa na drzewo wylatuje; takie mają być najlepsze do polowania. Dobry sokoł i w ogóle każdy ptak drapieżny powinien być chudy, oczu pełnych ognia, skrzydeł silnych, nóg mocnych i szponów ostrych Drapieżnym ptakom odbierają dzikość bezsennością, a potem je uczą, co się nazywa *unoszeniem*. Żywność dla wszystkich tych ptaków świeża być powinna i trzymać je należy w miejscu chłodnem. *Iść czarnym szlakiem* albo *berem*, znaczy podchodzić lotną zwierzynę; *pod pierzem szczwać*, polować z ptakiem drapieżnym.

Uboższym jest język łowiecki co do ptaków, których państwo jaśnieje rozlicznem barw bogactwem, zajmuje tysiącznemi pieśniami, może dla tego, że nie wszystkie nazwy i słowa są znajome; wiele także ptaków nie należy do zwyczajnego polowania. Nazywają jeszcze szczygła *kulczykiem*; wilgę *gwizdą*; sojkę *babą*; kukułkę, *kukawką*; jaskułkę domową, *domaszką*; rybitwę, *rybakiem*; dudka, *wudwudkiem*; bąka *hukałem* albo *hupałem* — Są to nazwy łowieckie-ptasznicze, słyszałem je od ptaszników częścią w Królestwie, częścią w Galicyi. Jak zaś rozmaite jeden ptak miewa nazwy patrz zoologią Jarockiego T. 2, str. 116. I jeden i tenże sam ptak różnie w różnych stronach nazywany. *)

Słowa łowieckie są bardzo właściwe — żaden inny wyraz nie wyrówna słowu *kicać* na oddanie powolnego biegu zająca, a zając w największym pędzie czyliż nie *kładzie słuchy po sobie?* albo któż nie widział na polowaniu jak zając *łamie* charty, jak przez swoje różnostronne szybkie ruchy w istocie zdają się łamać? Głosy niektórych zwierząt, jak żubr *jęczy*, jeleń *beczy*, lis *skomli*, wiewiórka *pryska*, orzeł *szczeka*, sęp *kłapa*, sokoł *kwili*, kuropatwa *gdaka*, *ciegoce*, przepiórka *bije*, gęś *gęga*, drop *ksyka*, słomka *chrapie*, śnieguł *piszczy*, gołąb *bębni*, *grucha*, *bruka*, żołna *skrzeczy*, kwiczoł *piska*, kawka *plegoce*, skowronek *dzwoni*, *przepieruje*, jaskułka *piskoce*, żuraw *struka*, sokoł *kwili*, puhacz *woła* **), jak wiernie oddane. Co powszechnie parzeniem się nazywamy, myśliwi zowią u jelenia *bekaniem*, u niedźwiedzia *grzaniem*, u głuszca *tokowaniem*, u jarząbka *graniem*, u kaczek *deptaniem* — i naturę żywiej malują. Nie będę się rozwodził nad pięknością każdego słowa; nie ujdzie zapewne baczeniu znawców a przyjaciele ojczystej mowy ujrzą i w jej odnodze, w języku łowieckim, tę cechę wyższości, która stanowi jej starszeństwo między siostrami słowiańskiemi. Pełen życia i poezyi jest nasz język łowiecki, żaden powszechnie używany wyraz nie zdoła zastąpić słów jego, są one w porównaniu z nimi, czem kwiat sztuczny z kwitnącym. Ale cóżby na to rzekli ś. p. niby klassyczni literaci, którzy obsiadłszy trójnogi rzymskie w naturze tylko geografią, zoologią, botanikę albo mineralogią, w mowie ludzkiej tylko gramatykę Kopczyńskiego widzieli; coby rzekli, że w szczególnych słowach języka łowieckiego polskiego więcej jest poetycznej prawdy niż we wszystkiej rymowanej prozie Delilla?

Strzelba *swieży* albo *żywi* kiedy nie do razu ubija; *dołuje*, *góruje*, *bokuje*, *rozrzuca* albo *gęsto bije*. Koniec rury jest *okiem*; częściami strzelby są: *kolba*, *lufa* albo *rura*, *cel*, *łoże*, *przykład*, *ujęcie*, *warkocz*, *stępel*, *kapsel*, *kominek*, *zamek* i t. d. Rozmaite także mają nazwy np. pojedynka, dubeltówka, ptaszniczka, kniejówka, szmigownica, dziwerówka, jańczarka, tyrolka, sztuciec, i t. d. Sieci jest mnóstwo jako: płot, parkan, na grubego zwierza; rozjazd, włok, trokówka, płotek, pajęczyna, niewód i t. d.

---

*) Niedoperze w Sandomierskiem nazywają pięknie wieczorkami.

**) Mówią także puha i to słowo maluje głos jego; pierwsze zaś powstało z mniemania pogańskiego i dotąd trwającego, że puhacz przeczuwając śmierć ludzi woła tych, którzy umrzeć mają.

*

I trąbki są różne charciówka, borówka, kniejówka i t p. i trąbi się rozmaicie według potrzeby. Jest także kilka słów obcych w używaniu, mogą one być ojczystemi zastąpione: apel (przybywaj), cwajnos (dwunosy), forsować, kuplować i t. d. Do łowców należą: myśliwi, strzelce, sokolnicy, bobrownicy. ptasznicy. — Nie mieliśmy w zamiarze rozszerzać się nad wszystkiem, co dotycze łowiectwa i chcących obszerniejszych wiadomości odsyłamy do dzieł o tym przedmiocie mówiących. *)

Rzekniemy nakoniec słów kilka o świecie łowieckim. Kiedy jeszcze pola i lasy bóstwami były ożywione a rzeki i jeziora oszumiewały pląsaniem i wesołem pluskaniem dziewic, źródeł opiekunek — jakież tam życie oddychało wszędzie, jak wszystko silnie przemawiało do duszy człowieka, jakie go wrażenia przenikały, jakie myśli wyrzucał z przepełnionej piersi! Zatarły je czasy późniejsze aż do najdrobniejszych okruchów. Obszerny jest świat łowiecki, najeżony górami i skały. zaczerniony puszczami, rozjaśniony zwierciadłami rzek i stawów, straszny przepaściami, uśmiechający się rozległemi rolami i błoniami, jaśniejący różnowzoremi barwy, brzmiący tysiącem dzwięków. Tu się puszą na berłach sokoły w karnalach (kapturach), tu psy snują drżące od niepokoju i zapału, tu jak na wojnę idzie wyprawa na odyńca lub niedźwiedzia — ówdzie pola migają rozsypanymi jezdzcami i lotnymi charty; w około lasów wstają płoty, słychać muzykę w kniei; myśliwy wypręża oko na przesmyku, tam samotny idzie za psem przewodnikiem albo czatuje ukryty w burzany. Jednych blask słońca oblewa, drugim wieczór przychylniejszy, tych zorza, tych światło księżyca prowadzi; inni lubią noc ciemną albo ją pochodniami rozświecają. Ci w kręte wąwozy wnikają, ci toną w nieprzebyte gęstwy, ci lgną w dyszące moczary, ci posuwają saniami po iskrzącym śniegu. Ale któż zdoła wiernie opisać ten ruch ogólny, tę wrzawę różnojęzyczną, tętent koni, lot psów, pęd zwierząt, ich obroty, trwogę, wściekłość, bój, grzmoty broni, trąb huki, zapał ludzi i setne ich uczucia; głosy szczególne niknące w ogólnym gwarze, a ten gwar powtórzony odgłosem, rozbity o gór ściany, rozsypany po dolinach. Uważać można polowanie jako żyjące poema, musiało ono wpływać na umysł łowców, prędszy krwi obieg, mocniejsze życie, tyle barw i dzwięków, tyle lat przepolowanych znajdowały malarzy w języku poetyckim Dodajmy do tego niewiasty, które czarodziejskiem okiem rozświecały koła myśliwych (bo kobiety w one czasy nie drżały na widok rumaka, nie mdlały na wystrzał, ale za to nie rodziły jak dzisiaj chrząszczów, ale lwy) rozmaite przygody i wypadki i świat rycerski spokrewniony z światem łowieckim. Nieraz zapewne na zgromadzeniach łowców rodziły się pomysły to jak żubry, jak lekkonogie sarny, jak szczebiotliwe ptaki — bo myśl rozogniona wiecznie za tymi przedmiotami goniąca i wiecznie je przed oczyma duszy trzymając, niejako ich odcisk, ich odblask w słowach wydawała i mowę okrywała różnobarwną suknią zwierząt. Z tylu marzeń, z tylu powieści cóż pozostało? szczątki obrazów, zamglone wyjątki z opisów. szczególne nazwy, samotne myśli, prawie tylko echo niewyraźne przeszłości. Myśliwi nie stanowili osobnej kasty, wiadomości ojca często nie przechodziły do syna i z nim umierały. Miejsce bóstw wygnanych zastąpiły na świecie łowieckim duchy i strachy, jakoby cienia zagniewanych bóstw pierwotnych. Co było niegdy prawdą stało się zabobonem, a wiara w nie pozostała już tylko u ludu.

Zabobonni myśliwi wierzą w duchów złych i dobrych. Do złych należą: Boruta, któremu dla ułagodzenia naczynia z potrawami wystawiają; zły duch albo szatan, przybierający na się różne postacie zwierząt i trapiący czasem całe dnie strzelców, gdyż ci ustawicznie strzelają i chybiają; mara, która w postaci mgły albo pary zamydla oczy strzelców; tuman, tylko w nawalnej zimie prześladujący myśliwych sprowadzając ich na obłędne szlaki. Myśliwy będący w porozumieniu z dobrymi duchami, mieć może na strzał co zechce i zawsze ubije; dobre duchy w postaci ptaków najczęściej wron, kukułek pokazują drogę strzelcom. Wierzą w czary, strzelbę mogą zaczarować samem spojrzeniem złe oczy; takie oczy najpospoliciej mają młynarze, dziady włóczące się z torbami i baby. Strzelba zaczarowana sama może wystrzelić, dla tego na noc w pokoju nie trzeba jej zawieszać; dla zabezpieczenia zaś od uroków i czarów wyrzynają na kolbie rozmaite znaki, figurki i krzyże. Spotkawszy złe oczy, należy nabój wystrzelić i strzelbę opluwszy położyć na ziemi, aby ziemia czary wyciągnęła, ale to skutkuje tylko zaraz po zaczarowaniu. Zakopanie lufy pod próg, którędy się przechodzi, ma czynić strzelbę niezawodną, w roztopiony zaś ołów wrzucają serce niedoperza, aby kule były dobre Aby strzelba nie żywiła, trzeba wrzucić w nią żywą gadzinę i wystrzelić, albo wpuścić kilka kropel krwi z ubitej zwierzyny. Strzelcy niektórzy i gajowi wieszają na płotach i bramach głowy zwierząt, ptaki albo ich skrzydła, strzeże to ich od czarów i sprowadza szczęście. W niedzielę i święta polować nie należy, bo się nie szczęści. Strzelcy omijają niektóre ścieżki, pod niektóremi drzewami nie strzelają, niektóre miejsca obchodzą, wróżą z lotu ptaków, z wianków wiszących na obrazach albo figurach nadrożnych, z chodu i twarzy zdybywanych osób, z księżyca, którego odmiany wywierać mają wpływ na węch psów, z gwiazd, z ułożenia chmur i obłoków na niebie i t. p., lecz sąd ich w tej mierze opiera się raczej na indywidualnych wyobrażeniach, niżeli na pewnych ogólnych prawidłach. Wilkołek albo wilkołak jest człowiek, mogący się przemienić w wilka, wiara w nie jest bardzo starożytna, strzelcy wystawują go sobie jako wilka z głową człowieczą długą i brodatą; istota ta może znowu do dawnej wrócić postaci, jest bardzo mściwa i wielkie szczególniej w owczarniach robi szkody.

Zagłębmy się dalej w świat łowiecki, tu się dowiemy od starych myśliwych: że państwo zwierząt istnieje w niedostępnych borach, że w niem dziwne, nam nie znane mieszkają zwierzęta; że niedźwiedź rozumie mowę ludzką i sam czasem przemawia; że wilk pięcią głosami wyje w łapę, że mu co roku po jednej przebywa wątrobie, że na niego głosem wołać nie należy, aby nie ochrypnąć, że jeśli człowiek wilka pierwszy postrzeże, to wilk się zlęknie, jeśli zaś wilk człowieka, to człowiek. Że starego dzika inne trzebią i wtedy samotnikiem nazwany pustelnicze wiedzie życie. Że sarny z upodobaniem wpatrują się w ludzi, że ich oczy wzbudzają miłość; że postrzelone niektóre zwierzęta, jako jelenie, sarny, wyszukują zioła i niemi się leczą; że w pieleszach znajdywano drogie kamienie i pierścienie; że w gniazdach zwierząt bywały kamyki czarodziejskiej mocy. Tu nam powiedzą, jak bobry domki budują, jak się rządzą, jak ścigane odgryzają sobie strój i rzucają strzelcom, jak kozy olbrzymie robią skoki; jakich przebiegów używają zwierzęta w obronie; jakie bitwy toczą ptaki między sobą i z zwierzęty; a dalej o zalotach bocianów; ich pielgrzymkach, o ich sądach, o ich przywiązaniu do ojczyzny i rodziców. i innych cnotach, dla których nie godzi się je zabijać. Tu nam powiedzą, że naczynia z rogów żubra są bardzo zdrowe i w wielu słabościach pomocne; że sadło niedźwiedzia smarując nim czoło,

---

*) Niektóre z dawniejszych są: Myśliwstwo z ogary Jana Ostroroga. — Myśliwstwo ptasze. — Gospodarstwo jezdzieckie, strzelcze i myśliwcze.

pamięć naprawia; że skrom zajęczy dobry na odciski i odmrożenie członków; że wpatrywanie się w żołnę wzrok naprawia; że strój bobrowy kaszel uśmierza; że rogi jelenie starte i używane do picia piersi wzmacniają; że podkadzanie nosem lisim ratuje w niebezpieczeństwach poronienia.*) Tu nam odkryją tajemnice zwabienia zwierzyny, sprowadzania tejże aż pod wrota, przeczuwania i unikania niebezpieczeństwa. Tu nam wspomną dawnoczesne łowy i przygody łowców i dzielność koni i usługi sokołów, miłośne przynoszących upominki; tu usłyszymy o miłości niedźwiedzi ku niewiastom — jak niedźwiedź wykradłszy córkę pewnego szlachcica, chował ją przez trzy lata, dzbanuszki jej wyplatał ze trzciny, wodę ze zdroju nosił, jagody zbierał w gaju a wieczorami bawił graniem na skrzypcach — i różne inne o podobnych miłostkach powieści. Jak zaślepionym myśliwym, wytępiającym bez miary zwierzynę, objawiały się wielkie, starością omszone jelenie, błagając o zachowanie mieszkańców leśnych, i rycerze wstrzymywali krwawe zapędy — bo przodkowie nasi mieli serce równie poczciwe, jak bitne ramię. Jak się polującym ukazowały zwierzęta z krzyżem między rogami i innymi cudownymi znakami. Według podania, kościoł na górze Śto Krzyskiej winien swój początek podobnemu zdarzeniu. Mówią, że gdzieś w górach mieszkają najdoskonalsi strzelcy, mający pałac podziemny i w nim zawsze okwicie wybornej zwierzyny, a w piwnicach przednie napoje i ogromne skarby. Ci myśliwi od dawnych czasów mieszkać mają w tem podziemiu; nieraz w ich okolicy słychać granie psów, szelest sokołów, trąbki i wystrzały, a biada ciekawemu, któryby się śmiał zbliżyć ku ich pałacowi Mają oni kiedyś zejść na dół i pokazać się. — A powieści wreszcie o napadach wilków, o trudach i przyjemnościach myśliwskich i t. d. Śliczne zmyślenia, ozłacają ponure zimowe wieczory i sny rozkoszne nawodzą.

Z przysłów łowieckich, których jest dużo, przytaczam: człowiek strzela, pan Bóg kulę nosi — chartem, jastrzębiem przyjaźń jednają — skoki przypiekać, znaczy myśliwstwa nie znać, albo polować jak król Popiel — kto jedzie na niedźwiedzia niech sobie łóżko gotuje a kto na wieprza, grób — ogar łakomy, chart pokorny, wyżeł zwajcza, dobrzy bywają. Patronem łowów jest św. Hubert, przypada 3. Listopada. Po św. Bartłomieju t. j. po 24. Sierpnia, rozpoczynają się polowania.

*) Przekonałem się własnem doświadczeniem, że ten środek bardzo skuteczny i powinien by być szczególniej po wsiach upowszechniony.

Wskazówki moralnej organizacyi u zwierząt

przez

Kazim. hr. Wodzickiego.

Nie podlega wątpliwości, że w świecie zwierzęcym jest zaprowadzona organizacya, połączona z subordynacyą, naśladowania godną, również, że są władze umysłowe rozwinięte, objawiające się w wyrachowaniu, zręczności, przebiegłości, korzystaniu z doświadczenia i pamięci, w końcu zapisać mogę jako pewnik, że zdolności u zwierząt są stopniowane, i że tak powiem, do individualności przywiązane. Studyum tej moralnej strony świata zwierzęcego jest nader pouczające i ciekawe, począwszy badania od zwierząt domowych, a skończywszy na dzikich. Jedne z nauki i doświadczenia korzystają i w pamięci zachowują, czego się nauczyły; inne znowu niczego się nie nauczą i wszystko zapominają. I tak widziałem jastrzębie gołębiarze, złowione w potrzask i wypuszczone na wolność, wpadające po dniach kilku w tę samą zasadzkę — a jednak rozumny to i przebiegły ptak. Sarny i dziki, szczute psami i strzelane, wracają do tych samych miotów, kładą sie na te same legowiska i barłogi, — gdy inne przeciwnie korzystają z doświadczenia, i potęgują ostrożność. Możnaby księgi zapełnić udowodnionymi faktami o stopniach rozwoju umysłowego u zwierząt, nie szukając takowego u psów i koni, przez nas wychowanych i pouczanych, przejętych cząstką rozumu ludzkiego. Widziałem lisy uciekające przed ogarami na drzewa, zające, chroniące się po dziupłach, sarny, puszczające się na bystrą wodę, aby ujść pogoni. W dzikach znowu i niedźwiedziach dziwne znajdujemy różnice co do odwagi, natarczywości, determinacyi i zręczności. Można powiedzieć, jak o żołnierzach, jeden z nich bohater, drugi tchórz, ten z zuchwałą odwagą broni życia, ów szuka ratunku w ucieczce. To samo dostrzegłem pod względem uczucia macierzyńskiego, jedna samica staje w obronie rodziny z narażeniem się i gotowością poświęcenia życia, inna porzuca dziatwę, i chroni się, gdzie może, nie dbając o własne potomstwo. Jestto dział w naukach przyrodniczych nader ważny, poparty już niezliczonymi faktami, zaostrzającymi ciekawość i chęć do dalszych badań. Nie tylko w gatunkach i rodzinach zwierzęcych istnieje takie stopniowanie, ale nawet w indiwiduach z tego samego rzutu. Lecz wkraczam w świat nauki, opuszczając szranki, naznaczone łowiectwu. — Organizacya i sobordynacya w zwierzętach, gromadnie żyjących, jest podziwienia godną. Zdawałoby się, że samice mają umysł więcej rozwinięty, jak samce, a przytem wrodzone uczucie macierzyńskie potęguje ostrożność i pieczę nad powierzoną jej gromadą czyli stadem. Widzimy w jeleniach przodkującą dorosłą łanię, w dzikach doskonałą samurę, w sarnach starą kozę, i gdy która przewodniczka zginie, nie samiec, lecz znowu samica ją zastępuje. Ciekawy wyjątek spostrzegłem w warchlakach bez matki, u nich zawsze wycinek *in spe* poprowadził stadko. *Le roi est mort, vive le roi* — to hasło u zwierząt, w kilku godzinach po śmierci naczelniczki, już przewodnik obrany, jemu posłuszeństwo ślubowane, i organizacya dokonana. U dzików kilkakrotnie zauważałem, że drugiego dnia nowo obrany naczelnik już naprzód idzie, wietrzy, słucha w poczuciu obowiązku przyjętego ochrony stada, — ten sam, który dnia poprzedniego, ufając swemu szefowi, o ostrożności ani pomyślał. Ileż to razy widziałem przewodnika z ryjem ku wiatrowi podniesionym, z uszkami do góry, z ostrożnością nogi podnoszącego, zatopionego w uwadze i ostrożności, a stado za nim postępujące, polegające na przemyślności swego naczelnika, swobodnie igrami i żerowaniem zajęte.

Również wątpliwości nie podpada, że zwierzęta używają mowy i znaków do porozumienia i ostrzegania się, że wysyłają sztafety z wiadomościami i rekonesanse na zwiady, że mają wyznaczone miejsca na zbory i tam na siebie czekają. Ta ich podziwienia godna organizacya chroni ród od zagłady przez drapieżnego człowieka. Znałem ongi tak ostrożne sarny, iż pomimo wciskania się w tajniki ich życia, w zwyczaje i weksle, były one nieprzystępne. i oszukiwały moje myśliwskie doświadczenia. Miałem odyńca, na którego przez dwa lata bezskutecznie polowałem, a zastrzeliłem go dopiero trzeciej zimy. Myśliwi moi mówili, że nam rośnie i przychowuje się odyniec.

Roku 1852 stałem nad głębokim jarem w obec zboczy, zarosłej kijastym drzewostanem, pod dziuplastą lipą, w której wychowały się młode myszy. Pomimo mrozu, a przy promieniach słońca, rodzina myszy igrała swawolnie, nie zważając na mnie, i tak moją uwagę przykuła, że nie spostrzegłem licznego

stada dzików, posuwającego się nad debrą. Nad brzegiem jej stanęły, olbrzymia samura posunęła się na przodku ku mnie o kilkanaście kroków, i wietrzyć poczęła. Ona mnie wietrzyła, lecz zrekognoskowawszy dokładnie, uznała, iż nie ma niebezpieczeństwa, i posuwała się ku parowowi. W tej chwili biegnie ku niej wycinek, trąca ją w żebra, i wskazuje ryjem lipę. Samura głowę podnosi, wietrzy, słucha, i wreszcie ma się ku mnie spuszczać. Po raz drugi ją trącił, i znowu wskazał mnie, zakrytego drzewem. Ona się ku niemu zwraca, jak gdyby mówiła: ja nic nie widzę. Wycinek nie spuszcza mnie z oka, i podnoszeniem głowy w moim kierunku zwraca jej uwagę. Zdawało mi się, że byłem skamieniały, że oddech we mnie zamarł, — a wiatr miałem dobry. Niestety wycinek dobrze radził, samura mnie spostrzegła, i pędem ruszyło stado w górę.— Drugie zdarzenie, świadczące o ustalonej organizacyi i troskliwej opiece nad rodziną i powierzonem stadem — opiszę tu w kilku słowach. W r. 1874 zaszło do mego lasu 17 dzików, dwie stare samury z warchlakami, dwa wycinki i olbrzymiej wielkości odyniec. Na szczęście moje usłała się ponowa, otropiono dziki, i stanąłem na stanowisku. Samura jedna wyszła wolno na rekonesans, a stado, w kupę zbite, stało w gąszczu nieruchome. Czujnie postępowała ku mnie wietrząc nieustannie. Gdy się na strzał zbliżyła, kula moja trafiła ją między przednie żebra. Drgnęła, siadła i fuknęła, obzierając się do koła, następnie wstała, poszła do stada i rozmawiała, gdyż słyszałem głośne harkotanie. Samura druga zebrała swoje i powierzone warchlaki, i pędem na skrzydło uderzyła, wycinki się przebiły przez nagankę, a odyniec wyszedł na jednego z myśliwych. Postrzelona samura podeszła ku linii strzelców i położyła się, oczekując śmierci. Oczywiście po otrzymaniu kuli, poszła do stada, ostrzegła o grożącem niebezpieczeństwie, powierzyła dzieci opiece swej towarzyszki, i zrobiwszy testament, położyła się do grobu, spełniwszy swe obowiązki.

TYDZIEŃ POLESKI

przez

A. BARTHELSA.

XXIII.

Rozeszli się wszyscy, ja z Jasiem kochanym
Ruszamy na kaczki, obuci w *postoły**) —
Ja idąc rozmyślam nad osnutym planem,
A on wygwizduje marsz jakiś wesoły,
Bodaj to wiek młody, oto raj prawdziwy,
Zjadł ciastko od lubej, i tem już szczęśliwy!
Uszedłszy kawałek, powiadam mu wreszcie:
— Panie Janie, znasz mnie, jestem człowiek prawy,
Przyjaciel wasz stary, i wiesz to nareszcie,
Żem nie żaden wściubski, ani też ciekawy...
Że się w nic nie wdaję, choć mnie kto i prosi,
Lecz ciebie się pytam: Ty się kochasz w Zosi?
Poczerwieniał chłopak... Nie ma się co wstydzić,
Mówię mu, ja miłość poważam, choć stary,
Złem tylko uczuciem należy się brzydzić,
Zatem chciałbym wiedzieć, jakie twe zamiary,
Powiedz więc otwarcie, panie kawalerze,
Nie to, czy się kochasz, lecz czy kochasz szczerze?
Czy widzisz twe szczęście w połączeniu z Zosią,

*) Postoły, łapcie nie lipowe, ale ze skóry — także *chodaki*.

A głównie czy szczęście jej masz na widoku,
Czy nie masz na pieńku z jaką Basią, Klosią,
Czy jaka Amelka nie wpadła ci w oko,
Słowem czy ją kochasz, by dla niej świat rzucić,
Czy tylko, at sobie... by się bałamucić?...
A on mnie z uczuciem: — Sąsiedzie kochany,
Bóg widzi me serce, i uczucia moje,
I choć jemu tylko grunt duszy mej znany,
Lecz ja wierząc mocno w zacne serce twoje,
Oświadczam ci szczerze, widzisz z mego czoła,
Że ja kocham Zosię, jak mego anioła!...
I Zosia, wiem dobrze, przychylną jest dla mnie,
Lecz ojciec, i matka, wyznam,... ich się boję,
Kto wie, czy się zgodzą wydać Zosię za mnie,
Mniej znając me serce, jak złe strony moje,
A mam je najgorsze w oczach tego świata,
Bom chłopak ubogi... a ona bogata!...
— Jeśli tylko o to, rzecz mniejsza, powiadam,
Znam ja Ignacego, choć lubi pieniądze,
Nie będzie przeciwny, jak ja z nim pogadam,
Pójdzie nam po myśli wszystko, jak ja sądzę,
Tylkoż, panie, patrzaj, żebyś mnie nie zdradził,
I jak się to mówi, w kpy nie wyprowadził.
A on mi na szyję jak skoczy, ze łzami
Wycałował ręce, głowę wycałował,
Aż mnie łza rozkoszna zwisła nad wąsami,
Żem chłopca pocieszył, zgadł i pożałował,...
— A kochasz ją bardzo? — O tak mi jest droga,
Kocham ją, jak matkę, jak życie, jak Boga!
No, no, no, Mosanie... to troche za wiele,
A wreszcie, to krzywda byłaby dla Zosi,
U Boga raz bywasz na tydzień w niedzielę,
A od niej cię diabeł nawet nie wyprosi,
Powiedz lepiej prawdę, kocham ją jak człowiek,
Jak Litwin uczciwy — do zawarcia powiek.

XXIV.

Ale dość tej gawędy, rzekę mu nareszcie,
Tu już nie o kochaniu, lecz o kaczkach mowa,
Bijałem na tym *łużku* kaczek po dwadzieście,
Dziś, biorąc rzecz najgorzej, niech będzie połowa,
To i tak jest do czego strzelać i pudłować,
Bo to wcale nie łatwo po zachodzie słońca
Spadającą na *łużek* kaczkę podpilnować,
Nie raz pudło i pudło, i pudła bez końca...
Idź Wasan w tamten koniec, siądź gdzie na kępinie,
A ja tutaj zasiędę pod tym łozy krzakiem,
Zaraz zapadać zaczną, kwadrans nie upłynie,
Zgarniać będziemy panie kaczki, jak przetakiem. —
Siedzim cicho czas jakiś, raptem słyszę — leci,
I niedaleko Jasia w czerotku zapada, —
Chociaż już po zachodzie, lecz jeszcze się świeci,
Jaś też w kierunku blasku cicho się podkrada,
Kaczka łup, łup, lecz ledwie nad czerot się wzbiła,
Jaś bac! spadła na wodę, łup, łup, bac! i druga
Tylko się na powietrzu chwilkę uczepiła,
A potem buch do błota, i leży jak długa...
Siedzim jeszcze... świst znowu nademną... dwie kaczki...
Ja w lot, bac! jest zabita, bac! jeszcze za drugą,
Poszła, świst tylko słychać skrzydeł nieboraczki,
Popamięta ten *łużek* ona sobie długo,...
Nie upływa minuty... ciemno już porządnie,

Zasiadają znów kaczki, niewiem dwie, czy jedna
Na wodzie między Jasiem a mną, nierozsądnie
Strzelać przeciw człowieka, lecz ta kaczka biedna
Smaczna, miły strzał do niej, puścić jej nie można,
Więc ja noga za nogą, po kolana w błocie
Człap, człap, robię krąg duży, bo kaczka ostrożna,
I nie podejść jej blisko, chyba w czoła pocie, —
Potem wymiarkowawszy, by strzelać pod łunę,
Bijącą od zaszłego słońca przed godziną,
Brnę do niej przyczajony,... zrywa się,... jak plunę!
Buch! zwaliła się w wodę... a dwie chyłkiem płyną
Czerotkiem, ja bac! do nich, diabła tam, śrót prysnął,
Rekoszetem po wodzie, kaczki w nogi panie,
Słyszałem, jak nad głową kaczorek mi świsnął,
Ciemno, choć oczy wykol... adieux polowanie!
Dalej więc zbierać kaczki, trzy Jasia, dwie moje,
Na początek pięć kaczek, i to nie źle wcale,
Ruszamy przemoczeni, tną komarów roje,
I przychodzim do kurnia, w całej naszej chwale. —
Nie będę opisywał znajomych szczegółów
Wieczerzy i gawędek przy ponczyku wazie,
Ani ułożonégo planu artykułów
Na dzień cały jutrzejszy, lecz na skorym razie
Powiem tylko, że wszystko powtórzeniem było
Dni poprzednich, z małemi tylko odmianami,
I że, jak zwykle dotąd, wszystko się skończyło
Miłym snem, ze wszystkimi snu akcydensami —
I dodam, że w tym ważnym interesie Jana
Pragnąc zrobić krok pierwszy, nieszczędziłem pracy
Przy układaniu planów, aby jutro z rana
Na głuszcach, towarzyszem moim był Ignacy.

XXV.

By czytelnika nie znudzić,
Powtarzaniem rzeczy znanych,
Nie mniej też, niechcąc go trudzić
Opisem przygód doznanych,
Które w pokorze przyznawszy,
Te same były, co zawsze,
Powiem tylko ogółowo,
Że powstawszy ze snu zdrowo,
Choć nie zupełnie wyspani,
Podzieliwszy się na pary,
Z młodszym młodszy, z starym stary,
W cały porządek przybrani,
Ruszyliśmy szybkim krokiem
Z noclegowego kurenia,
Wszyscy w milczeniu głębokiem,
Wielkiego pełnem znaczenia,
Jakby rzecz szła nie o sprawę
Dostania trochy zwierzyny,
Ale najmniej o wyprawę
Na Japonię, albo Chiny. —
— Przyznam się w sposób najszczerszy
Że znając ludzką naturę,
Zrzekłem się mej myśli pierwszej,
Zbyt dbały o Jasia skórę,
Wystąpić z mojem kazaniem
Na czczo i przed polowaniem, —
Lecz ułożywszy z wieczora
Przed zaśnięciem projekt inny,
Jak przyszła stosowna pora,
W ten sposób nader niewinny,
Wszakże i nie bez zręczności,
Jak na prostego człowieka,
Bez najmniejszej czasu straty,
Zagaiłem rzecz z daleka,
W charakterze dyplomaty,
I powiernika miłości.
Kosztem własnych mych łowów, tak rzecz skierowałem,
Żeby zacny Ignacy aż dwa głuszce zabił,
I gdy uradowany tryumfem niemałym,
Po ostatnim już głuszcu do siebie mnie zwabił,
Powitałem go naprzód w pięknym komplemencie,
Winszując mu zabitych pysznych głuszców pary,
Którą dźwigał na sobie, i w tymże momencie,
Dobywszy panie z torby flaszkę wódki starej,
Z kawałkiem pieczystego, rzekłem: — Cny sąsiedzie
Niech ci się wszystko dobre tak na świecie wiedzie,
Jak dziś to polowanie, w ręce do Waszmości!
Zdrowia, długiego życia, wszelkich pomyślności!
Rozczulił się Ignacy serdecznem życzeniem,
Wypił, i rzekł sciskając dłoń mą z uniesieniem:
— Bóg zapłać!... a ja dalej, ośmielon troszeczki:
— I męża dla twej ładnej i miłej Zosieczki! —
Westchnął stary,... — Oj prawda, o to mi życzenie,
Za którem ci, sąsiedzie, wdzięczen nieskończenie —
I usiadłszy na kłodzie rzecze do mnie: — Biedna,
To moje dziecko! młoda, dobra, ale jedna,
Nudzi się, chciałaby się może i zabawić,
Potańcować, pojeździć, przyjemniej czas strawić,
Jak w domu ze starymi, cóż, kiedy nie łatwo!
Bieda to, mój Mosanie, oj bieda z tą dziatwą!
I nieraz ja tak patrząc na nią sobie z boku,
Zauważywszy smutek i łezkę na oku,
Myślę, dobrzeby wydać dziewczynę niebogę
Za mąż, jużcić to pewna, lecz panie za kogo?
Oto sęk, chciałoby się wydać po bożemu,
Bo jest i stan, i imię, i fundusz potemu,
Kiedyż tak trudny wybór, w jaki punkt nie ruszę,
Wszystko kiedy nie chłystki, to golifeusze,
A mnie się chce Mosanie, żeby był i statek,
I sensum quintum w głowie, i chleba dostatek
Znajdziż *) Wasan takiego!... — Tak ja jemu na to:
— Et bo Wasan przedewszystkiem chcesz Zosię bogato
Wydać za mąż, to bieda, — gdyby nie to panie,
Miałbyś chłopców porządnych na twe zawołanie,
Ale znając na pewno tę główną myśl twoją,
Z mniejszym funduszem ludzie posuwać się boją,
A znam wszakże jednego, za którego słowo,
Poręczyłbym majątkiem, imieniem i głową,
A który kocha bardzo — bardzo twoją Zosię...
— Et co Wasan! najpewniej tylko tak zdało się...
Któż to jest? — Jaś z Lipówki? — Jaś? czyż on ją kocha?
— Najpewniej, lecz co gorsza, że i ona trocha
Gabnięta, **) i chciej wierzyć, a nawet bądź pewny,
Że te łezki na oku, i ten nieraz rzewny
A smutny wyraz twarzy, to nie nudy panie,
Jak to Wasan tłumaczysz, lecz prosto — kochanie!

---

*) *Znajdziż*, zamiast znajdźże, w potocznej mowie najczęściej używają Litwini.

**) *Gabnięta*, wyrażenie czysto litewskie, znaczące początek zakochania się, od słowa zagabać, także używanego tylko na Litwie.

— Daj go katu, zkąd że to Wasanu te wnioski?
— At panie, dar spostrzeżeń, zwyczajnie dar Boski,
Popatrzyłem na Zosię, spojrzałem na Jana,
I zrozumiałem sprawę... — No proszę Acana,
Jak to ja kombinuję teraz w mojej głowie,
Wyraźnie tak to i jest, daj ci Boże zdrowie,
Żeś mą trochę oświecił ślepotę w tym względzie.
— A więc cóż?— A cóż ma być,... nic z tego nie będzie!
Jaś najlepszy jest chłopak, przystojny, wesoły,
Dobrego rodu, — ale to bieda, że goły,
Folwarczyna nie wielka, i dość długu na niej,
A Zosia, pamiętajże, całą gębą pani,
Po nas obejmie wszystko, a w samej wyprawie,
Z posagiem już fortuna nie lada jest prawie,
Kęsek godzien Mosanie największego Pana. .
— Dobrze — ja mu powiadam — lecz jak kocha Jana,
I to kocha nie głupio, ale z całej duszy,
Czyż to ciebie nie zjedna, czyż cię to nie wzruszy,
I czyż cię nie zaboli serce, zacne przecie,
Widząc twoją Zosieńkę, jedyne twe dziecie,
Oddającą bez serca rękę człowiekowi,
Którego główną wartość bogactwo stanowi?
Nad wyborem przeciwnym jej sercu i myśli,
Niechaj ojciec poczciwy serdecznie pomyśli,
Nie zaś ów rachunkowicz, co goniąc za złotem,
Nie widzi dziś łez dziecka, a nieszczęścia potem,
Ignacy! — No cóż jeszcze? — Nie gniewaj się na mnie
Za szczere słowa prawdy,... daj rękę przynajmniej,
Powiedziałem z uczuciem... bom na jego czele,
Dostrzegł chmurkę niechęci, ale on nie wiele
Myśląc, podał mi rękę mówiąc: — Masz do kata
Słuszność, chociaż on biedny, a ona bogata,
Wart jest jej, na bok z głupim żydowskim rachunkiem,
Ja nie jestem przeciwny, ale pod warunkiem,
Jeśli go Zosia kocha, bo jeśli inaczej,
Niechaj sobie kawaler choć do wody skacze,
Nie będzie nic z projektu, i Pan Bóg tam z niemi,
A teraz sza sąsiedzie, i miej przed drugiemi
Minę, jak gdyby o tem i mowy nie było...
Jeszcze ścisnął za rękę z serca, z całą siłą,
I poszliśmy w milczeniu, on nieco nadęty,
A ja cały już Jasia weselem zajęty. —

XXVI.

Jaś tylko spojrzał — poznał od razu,
Że coś tam o nim rzeczy się miały,
Popatrzał na mnie, pełne wyrazu
Oczy się jego pytać zdawały:
A co tam ze mną? — ja mu znak dałem,
Lekkim uśmiechem, by się nie trwożył,
Otuchy chłopcu widać dodałem,
Bo jakby jakie cudowne spożył,
Razem lekarstwo, wzrok mu się zmienił,
Uśmiech na blade powrócił usta,
I nos pozycyę jakoś odmienił
Przedtem zwieszony — a jakaś pusta
Myśl mu widocznie mknęła przez głowę,
Nie mogąc wybiedz, jakem człek szczery
Zwyczajną drogą na świat, przez mowę,
Wyszła w podskoku na łokci cztery...
Zmarszczyłem czoło... stanął jak wryty...
Skinąłem głową, grożąc zawzięcie,
A że to filut jest znakomity,
Pojął myśl moją w jednym momencie,
I nuż się zręcznie do Ignacego
Umizgać, łasić, wdzięczyć i kłaniać,
Tak, że wyraźnie już się starego
Serce ku niemu zaczęło skłaniać...
Nawet mi szepnął w ucho półgłosem:
— Zuch całą gębą ten Jaś poczciwy,
Wartoby jego zająć się losem,
Duszą i ciałem dzielny myśliwy...
A on, jak gdyby pragnąc to zdanie
Potwierdzić czynem, stawia przed nami
Ogromną misę krupniku panie,
Z wczorajszej pracy pięciu kaczkami.
Tak to przyprawił łotr jakoś smacznie,
Jak gdyby królom panie gotował,
To też krupniczek zmiótł się nieznacznie,
A pan Ignacy jak go skosztował,
Rzekł do Jasieczka: — No, panie Janie,
Nie żałowałeś widzę dowodu,
Żeś całą gębą gospodarz panie
I że twa żona nie umrze z głodu —
Jaś podziękował, lecz co się działo
W jego poczciwem sercu i głowie,
Trudno opisać, bo na to mało
Słów i wyrazów w ludzkiej jest mowie,
Tylko sczerwieniał calutki z nosem,
Radość zabłysła na zacnem czele,
A ja szepnąłem sobie półgłosem:
— Dobrze nam słychać... będzie wesele!

XXVII.

Wyraźnie pan Ignacy wziął do serca sprawę,
Bo zapowiedział jedząc ostatnią potrawę,
Że pojedzie do domu, wróci zaś przed nocą,
Dla jakichś tam rachunkow — wiem ja dobrze, po co,
Lecz udaję głupiego. — Jakoż w godzin parę,
Zajeżdżają po niego dwa koniska stare.
I ruszył pan Ignacy w świat. Myśliwi zatem
W naradę, co tu robić? — i stanęło na tem,
Że spocząwszy godzinkę, pójdziemy w *jelniaki* *)
Na jarząbki z wabikiem, a więc siaki, taki,
Do kurenia, i chrapie, a ja z zakochanym
I mocno sciekawionym moim panem Janem
Do lasu, i z daleka od rzeszy ciekawej
Zdałem mu akuratny raport z całej sprawy,
Z nadmienieniem, że stary pojechał widocznie,
Aby stan serca córki wybadać naocznie,
I że, jakkolwiek scena gorąca być może,
Jeśli taka jest wola i zrządzenie Boże,
Pójdzie wszystko pomyślnie. — Biedny Jaś jednakże,
Aż pobladł z niepokoju, a i ja się także
Zacząłem nieco trwożyć, bo nagła odmiana
Myśli, pod wpływem głuszców zabitych dziś zrana,
Mogła znowu powrócić do formy poprzedniej,
Gdyż co innego zrana, co innego we dnie,
I zawsze czegoś więcej człekowi zachce się
W domu z rachunkiem w głowie, jak ze strzelbą w lesie,
Ale w Bogu nadzieja!... jednak polowanie,
Pod wpływem takich myśli, źle coś idzie panie,

*) *Jelniaki*, miejsce zarosłe przeważnie jedliną.

I wabi się nie dobrze, i uważa mało
I nie strzela się z gustem, jak przedtem bywało.
A Jaś, o ten zupełnie dał już za wygranę,
Myśli jego daleko błądzą za kochaną.
Dmucha w wabik bez sensu, broń zwiesił niedbale,
I zamiast wypatrywać, nic nie widzi wcale..
Tak ja do niego: — Panie! masz słuchać, słuchajże,
Masz wabić, to i wabże, masz patrzeć, patrzajże,
A nie psuj polowania drugim, jak na licho —
Kiedyś już do niczego, to siedź sobie cicho,
A ja sam wabić będę. — Jakoż w pół godziny,
Zaczęło być weselej w pośród tej gęstwiny,
Jarząbek po jarząbku leci na wab, walę
Jednego w ślad za drugim, strzał idzie po strzale,
A Jaś mój zamyślony, całkiem jak nie w lesie,
Co stuknę, on nos w górę, i znowu go zwiesi.
Pół czwartej panie pary jarząbków, niech zginę,
Zabiłem mu pod nosem niespełna w godzinę,
Drugi by się ze złości wściekł, a on tak panie
Siedzi, jakby to nieszpór, a nie polowanie,
Wstałem, i mówię jemu: — Chodź, chodź już nudniku,
Tobie nie w lesie siedzieć, ale w saloniku,
Przy krosienkach Zosiuni, zamiast bić jarząbki,
Włóczki w cienie rozbierać, nici zwijać w kłąbki,
Albo słuchać jej grania, — Boże mój, aż nudzi
Myśleć, do czego miłość doprowadza ludzi!...
A on do mnie: — Tak, łatwo żartować Wasanu,
Coś już do bezżennego dawno przywykł stanu,
Któremu już nieznany ten serca niepokój,
Te oczki, i te ząbki.. et! dajmy już pokój!...
Co tam i pleść i myśleć, i gadać tak wiele,
Jak mi Zosi nie dadzą.. to w łeb sobie strzelę!...
— Dudek z Wasana, dudek, powiadam ja znowu,
Że się ta młodzież nigdy nie zbędzie narowu,
Zabijać się z miłości, i ja byłem taki,
Byle mnie tylko licho poniosło do jakiej
Czarnobrewki, a trochę nie tak szło, jak chciałem,
Zaraz z wielkiego żalu zastrzelić się miałem,
Tymczasem, choć na serce często byłem chory,
Jakoś, dziękować Bogu, żyję do tej pory,
I jeśli kiedy kula dni mi pozazdrości,
To chyba na obławie — pewnie nie z miłości..
Ale chodźmy do chaty, idź Wasan po przedzie,
Bo może niezadługo Ignacy nadjedzie,
A jeśli nam dzień cały; tak jak dotąd przejdzie,
Zdaje się, że się sprawa bez krucic obejdzie.

(C. d. n.)

NIEDŹWIEDNIK

przez

KAZ. WŁ. WOJCICKIEGO.

Chorąży, pomuskawszy sobie czuprynę zaczął gawędę:

„Żył przed 50 laty szlachcic, zwany Niedźwiednik, był to jego przydomek od nadzwyczajnej siły, gdyż każdego przełamał niedźwiedzia, z którym się spotkał, właściwie się nazywał Roch Dąbrowa. Postać nie okazywała bynajmniej tej olbrzymiej siły, którą dziwił i przestraszał. Wysoki, kształtny, topolowego wzrostu, poruszenia żywe, ręka niewielka, ale żylasta, twarz wesoła i ciągle w uśmiechu. Nosił zwykle szarą kapotę i czapkę na lewe ucho przykrzywioną. Mieszkał w domostwie, nie wiele różniącem się od chałupy wieśniaka, mały ogród i jeden zagon 12 łokci szeroki, a do 100 sążni długi, były całem dziedzidzictwem Niedźwiednika Żył pracowicie, uprawiał w pocie czoła ogródek i zagon, a w wolnych chwilach, zarzuciwszy strzelbę na plecy, szedł na grubego zwierza w obszerne knieje, co nie były tak puste, jak dzisiaj, kędy nie zobaczysz niedźwiedzia, i łosia I sąsiedzi okoliczni dziwili się jego łowom. Nie strzelił on do zająca ani do lisa; każdego ptaka omijał lecz zato w obszernej puszczy nie przepuszczał niedźwiedziom dzikom, łosiom, jeleniom, rysiom i wilkom Ale i w tem zachowywał szczególny zwyczaj. Żaden z myśliwych nie widział, by użył strzelby na niedźwiedzia, chyba że niespodzianie go spotkał, kiedy nie miał swojego, jak nazywał kija. Kij ten była to pałka, jak dwie ręce gruba, u góry zaokrąglona, na kształt buławy; nadgłówek ten był nasadzony trójkątnymi goździami grubymi, a ze środka wychodził na łokieć długi, ostry, obosieczny dziryt. Z taką bronią przyjmował zawsze niedźwiedzia, i gdy ten rozjuszony, na dwóch łapach spięty, zbliżył się do Dąbrowy, pchnął go naprzód dzirytem, a potem za jednem uderzeniem pałki rozciągnął u nóg swoich. Wtedy z radością uśmiechał się, naciskał lepiej czapkę na lewe ucho, dobywał myśliwskiego noża i nietylko, że odcinał po zdjęciu skóry łapy niedźwiedziowi (ulubiony przysmak na wielkich stołach), ale nadto wykrawał pieczenie, które swemi delicyami nazywał. — Sąsiedni kmiecie często rozmawiając o nim, gdy przyszło wspomnieć o nadzwyczajnej sile, zawsze mówili: Nie dziwota, musi być mocny jak niedźwiedź, kiedy się żywi pieczeniami z niedźwiedzi. Mimo to wszakże nie mogli pojąć, jak człowiek tak może być zdrów i silny, nie pijąc ani wódki, ani miodu, ani piwa; napojem zwyczajnym u niego była kryniczna woda. Nie pogardzał i futrem z lisów, ale na nie umiał tak zręcznie stawiać samołówki. że w zimowej porze, kiedy najlepsze skóry, nie tylko że corocznie sam się zaopatrzył w nową lisiurkę, ale za sprzedane futra nazbierał nie mało grosza. Mówiono potajemnie, iż ma dużo pieniędzy zakopanych, i musiał ich mieć wiele, bo o nie nikogo nie prosił. Samotny, bezżenny, łowy były dlań rozrywką i uciechą. Pan na jednym zagonie, sam go łatwo mógł uprawiać i zebrać. Ogród warzywny i sad, pełen smacznego owocu, dostarczały mu dość żyżywności przy obfitej zwierzynie. — Na cały powiat Niedźwiednik był osobliwością, a trzeba wiedzieć, że wtedy u nas nie brakło silnych ludzi i dobrych myśliwych. Nie dość, że na oszczep brał wielkie niedźwiedzie; ile razy dziedzicowi chciał podarek zrobić, a zawsze to czynił na kolendę i przed wielkanocą, przywoził z kniei żywego dzika. Każdy się temu dziwił, i z dalekich okolic zbiegali się myśliwi, by zobaczyć tak osobliwego strzelca. Chłopstwo oskarżało go o czary, że ma związki z diabłem, lecz to wszystko kłamali wierutnie. Mój ojciec ś. p. mieszkał o sześć mil od tej wioski, gdzie Niedźwiednik przesiadywał. Po wesołym kuligu zajechał z dziatwą i z matką naszą w tamte okolice. W dużych saniach siedziała pani matka i dwie dorosłe panny siostry, ojciec przy woźnicy sam powoził. W ostatni wtorek podochocony, wracał z nami wieczorem, a jechał żwawo, aby doma na popielec stanąć. Za dużym lasem — pamiętam jakby dzisiaj, bo miałem już lat dziesięć, — iskrzyło się niebo od gwiazd mnóstwa, świecił-ci i księżyc w pełni, tak widno było, że szeląg znaleść było można. Nagle konie parskać poczęły, a nieboszczyk mój ojciec, widząc, co się święci, świsnął i jak wiatr posunęły się na śliskim śniegu sanie. Wilków stado zabiegało nam z boku. Skręcił końmi w inną stronę i na nieszczęście w rów wywrócił. Pamiętam dobrze jego słowa, kiedy przestraszony zawołał, podniosłszy sanie: „Prędzej do sani! bo jeżeli nie uciekniem, zginiemy na zawsze.“ Matka i

panny siostry usiadły prędko; ruszył, co koń wyskoczy, a ja zagrzebany w śniegu zostałem zapomniany. Zerwałem się na nogi, wychyliłem głowę, widziałem, jak za ojcem pędzą wilki, z przestrachu przysiadłem, sen mnie zmorzył i zmarzłem. Kiedym otworzył oczy, zobaczyłem pierwszy raz w życiu Niedźwiednika; nacierał mi twarz śniegiem, cztery ogromne kundle stały obok niego, a dalej jednokonne sanki, pełne lisów i trzy skóry wilcze. Gdy zobaczył, że żyję, zaniósł do sanek i przywiózł do domu, lecz nie zostawił mnie w ciepłej izbie; rozebrał do naga i na podwórzu wśród mrozu natarł mocno śniegiem. Wtedy obwinął mnie w skórę wilczą i położył na swojem łóżku. W kilka dni już zdrów byłem, a Niedźwiednik, dowiedziawszy się, kto mój ojciec, odwiózł mnie do domu. Drżało mi serce z radości, kiedym ujrzał suche gałęzie lipowej drogi i dwór mego ojca. Zostawił mnie w saniach, a sam wszedł do komnaty. Pan ojciec dopiero za powrotem do domu zobaczył, że syna stracił. Matka w saniach i panny siostry bez pamięci, ze strachu nawet wysiąść nie mogły. W całym dworze powstał lament i płacz wielki, porozsyłano czeladź, ale napróżno szukano. Skłonił się ojcu, i żeby zbytnia radość nie zaszkodziła, prosił do osobnej izby. Tam mu powiedział, jak mu syna uratował i że przywiózł go z sobą. Pan ojciec nie wiedział, jak dziękować, płakał z radości i całował mojego wybawcę. Powrócili do komnaty, gdzie matka i siostry zapłakane siedziały. Ojciec kazał jednej pobiedz do piwnicy po węgrzyna, a sam rzekł do matki mojej: „No, dzieweczko moja, wieści nam pewne nasz sąsiad przywozi o naszym Tadeuszku.“ — „Żyje?“ — zawołała. „Nie tylko żyje, ale przyjechał.“ I zaraz wbiegłem, upadłem do nóg panu ojcu i pani matce, a Niedźwiednik płakał i wszyscy. Kiedy chciał węgrzynem ojciec częstować, podziękował za wino i żadnego daru nie przyjął, wyjąwszy strzelbę jako pamiątkę. — „Jeżeli wielmożny chorąży — powiedział ojcu — chce mnie wynagrodzić, niech samotnego Niedźwiednika (bo i sam się tak z chlubą nazywał) często pan Tadeusz nawidza. Nauczę go strzelać a te odwidziny będą rozweselać starego myśliwca.“ Nie długo się bawił, bo spieszył, jak mówił, ściągnąć lisy z samołówki. Od tego czasu zawsze co miesiąc, na cały tydzień do niego wyjeżdżałem; on mnie wprawiał do strzelby, i mogę rzec bez chluby, mówił stary, że po nim w naszej ziemi jako myśliwy rej wodziłem, a nie miałem jak szesnasty rok. Często spraszał mój ojciec przyjaciół i krewnych na łowy, a miał u siebie duże knieje; wtedy i mój wybawca zjeżdżał. Pamiętam dobrze, pokazał się raz ogromny niedźwiedź i szkody nie mało nam robił. Trzeba było go sprzątnąć; wiele sąsiadów myśliwych zebrało się razem, był i Niedźwiednik; stałem blisko niego i mojego ojca. Prędko go psy ruszyły, pokaleczył kilka i wypadł na drogę, kędyśmy stali. Niedźwiednik miał czerwoną czapkę. Ku tej więc stronie rzucił się wściekły; przypuścił go może na cztery kroki i wtedy podniósł jeszcze dekiel, spojrzał, czy dobra nasypka; zmierzył, a z połyskiem powalił się niedźwiedź, ale tak blisko, że musiał uskoczyć, bo przygniotłby go ogromem swoim. Wesołe okrzyki rozległy się po lesie, a zwycięsca oddawszy skórę i łapy, wykroił pieczeń i schował do torby. — Nadchodziły imieniny mego ojca; pojechałem do niego, żeby zwierzyny przysposobić. Na kuropatwy poszliśmy z jastrzębiem i bez strzału dwadzieścia par złowili. Wtedy Niedźwiednik rzekł do mnie: „No, mój Tadeuszku, trzeba coś grubszego panu ojcu zawieść; pojutrze jego imieniny. Jutro ze świtem złapiemy dzika żywego i tak zdrowego zawieziem, jak te kuropatwy, co je wybraliśmy po jastrzębiu z pod rozjazdu.“ Serce biło mi z radości, jeszcze bowiem nie widziałem, jak to można wziąć żywego dzika w kniei. Mało co spałem; przed świtem byłem już na nogach ubrany. Niedźwiednik wziął cztery kundle, zarzucił strzelbę i wyostrzone przywiązał żelazo obosieczne. Słońce jeno poczęło wschodzić, kiedy już byłem na stanowisku. Za małą chwilę usłyszałom szczekanie psów głośne, a prędko potem słychać jeno było ciche warczenie. Poskoczyłem, patrzę, i — widzę jak na małej łące kundle przytrzymały ogromnego dzika: dwóch trzymało za uszy, a dwóch za tylne racice. Usłyszałem trzask gałęzi, i wnet pokazał się Niedźwiednik. Leciał prędko; widać, że pędził za psami, w ręku mu błyszczało ostre żelazo. W pełnym biegu dosiadł na grzbiet dzika i sznurem surowcowym, co go miał za pasem, skrępował ryj jego, wybił kły żelazem, a przebiwszy niem przednie pod kolanami racice, poza żyły tenże sznur przeciągnął i silnie związał. A ów dzik ogromny, postrach psów i myśliwych, bezsilny padł. Wtedy stanąwszy nad nim, rzekł do mnie: „Tadeuszku, przy trzech brzozach stoi fura, sprowadźcię ją tutaj, ruszamy do dworu pana ojca z podarkiem myśliwskim. Siedząc na dziku uradowani, z pełną furą zwierzyny, żwawo popędziliśmy konie i stanęliśmy przed wieczorem. Ja ojcu ofiarowałem kuropatwy, dropia, sarnę i kilka zajęcy, a Niedźwiednik przywiązawszy na długim sznurze dzika u lipy, co stała na środku obszernego podwórza, wszedł do komnaty, powinszował i prosił, by wyszedł zobaczyć podarek starego łowca. Już wiele było gości; wszyscy zdjęci ciekawością wybiegli. Jaki był ich podziw, gdy ujrzeli żywego dzika, co obchodził w koło lipę. Ojciec mój rozradowany, wypił zdrowie dzielnego myśliwca z ogromnego puhara, i sąsiedzi z radością powtórzyli to wszyscy. Wnet wyniesiono strzelb kilka; zaczęli strzelać podochoceni goście, a gdy dzika powalili na ziemię, trąbki myśliwych ogłosiły koniec tej uciechy. Wtedy sąsiedzi porwali Niedźwiednika na ręce i nosili po całem podwórzu, spiewając ową sławną myśliwską piosneczkę:

Siedzi zając pod miedzą
Myśliwi o nim nie wiedzą.

Stary strzelec płakał z radości; przy wieczerzy posadzono go na najstarszem miejscu, a co nie pijał nigdy, wtedy rozochocił go węgrzyn. We dwa miesiące już płakałem nad jego grobem. Jak żył, tak i skończył; nie umarł zwyczajną śmiercią. — Polowano na niedźwiedzicę, co wiele robiła w okolicy szkody. Już wybrał się Niedźwiednik ze swoim, jak nazywał, kijem; kij ten czternaście już zgładził niedźwiedzi. Kiedy poruszona z legowiska, wypadła rozżarta, wtedy wysunął się z za drzewa i ugodził ostrym dzirytem, ale ten się zsunął po kości; już nie miał czasu poprawić ciosu. Pochwyciła go w silne łapy. Blisko stojąc, usłyszałem jęk cichy i chrzęst łamanych kości. Zemściłem się, bo z mojej strzelby poległa od razu, ale mój wybawca leżał bez duszy, cały krwią zlany. — Tak skończył stary myśliwiec, jakiego już więcej oczy moje nie zobaczą. Opłakiwałem go ciężko, a świętej pamięci mój pan ojciec wystawił piękny dlań nagrobek z kamienia w tem miejscu, gdzie życie skończył, i na nim dał wyryć, jak upadł przed zajadłym niedźwiedziem.

KORESPONDENCYE.

Z nad Świecy.

Że ustawa łowiecka już do tej pory w kraju naszym błogie owoce wydawać poczyna, temu zaprzeczyć nie można. Widzimy to na wzrastającym w ogóle stanie sarn i zajęcy, ale o ptactwie tego jeszcze twierdzić niepodobna, gdyż na wkorzeniony u nas zwyczaj wybierania jaj ptaków, gnieżdżących się mia-

nowicie na łąkach i polach, władze nasze dostatecznie jeszcze uwagi nie zwróciły. Nieszlachetny ten sport kwitnie jak dawniej przeważnie w klasie pastuszków, lecz co gorsza, że i nasi myśliwi nie dość jeszcze sumiennie przestrzegają przepisów co do pory polowania na ptactwo. — Ustawa łowiecka jednak bardzo ostro, może w niektórych względach za ostro nakreśliła przepisy, ale lepiej za wiele, niż za mało, zwłaszcza w kraju, w którym myśliwstwo w takiem było rozprzężeniu. Wszyscy myśliwi oraz wdzięczni być winni tej ustawie, iż w jednym pofolgowała względzie, a to, że nie usłuchała głosów, domagających się zakazu strzelania słonek na ciągu. W chwili, gdy myśliwy zakończywszy łowy zimowe, prawie do połowy lata zawieszać musi strzelbę na ścianie, i zapadać w letarg jak niedźwiedź lub borsuk w zimowych miesiącach, jeden tylko głos ciągnącej słonki budzi go na czas jakiś z tego letargu, i wiele chwil radości przysparza. Uroczy ten ptak wiosenny, jakże silnie umie wywoływać bicie serca o zmroku tem ćwierkaniem i chrapaniem, stokroć piękniejszem dla ucha łowca, niżli spiew słowika w Maju dla rozmarzonych kochanków. — Tego roku niestety! w okolicy nad Świecą i Dniestrem, długo myśliwi oczekiwali wieczorami napróżno tego lubego, chrapliwego dźwięku. Powodem tego były zapewne nieustające zimna. Przez cały koniec Marca i początek Kwietnia zaledwie po dwie lub trzy słonki ukazywały się wieczorami. Zrozpaczeni myśliwi wierzyli już w przedwczesne niemieckie: „Tralarum“. Wszelakoż poczciwe, wędrowne ptaszyny, bardziej baczne na termometr, niż na kalendarz, nie dały zaznać boleśnego zawodu. Około 10. Kwietnia w znaczniejszej pojawiły się liczbie, i w naszych podgórskich lasach wieczorami dawały bardzo częste wokalne, ćwierkające i chrapiące koncerta. Uwagę uczynioną, iż słonka, ów niezmordowany wędrowiec, jest jedynym wiosennym ptakiem, który budzi z letargu myśliwca, wyrządziłem krzywdę szlachetnemu, a stale u nas zamieszkałemu ptakowi, a tym jest cietrzew. Tok cietrzewia, to szczyt poezyi myśliwskiej. Ten, który kreśli tych słów kilka, jest starym myśliwym. Jako kilkunastoletni chłopiec na stepach podolskich wprawiał się już w strzelanie kszyków i wodnego ptactwa, a później przechodząc stopniowo wszelkie myśliwskie zawody, potykał się wiele z grubym zwierzem,— a jednak wyznać musi, iż nigdy silniejszego nie zaznał bicia serca, jak w owej budce, przed którą o świcie cietrzew bełkotaniem swój miłośny monolog wygłasza. Szczęśliwsi odemnie Towarzysze myśliwi zapewne już nieraz zaznali tej rozkoszy, której tej wiosny po raz pierwszy w życiu użyłem na naszem podgórzu karpackiem. Ci, którzy jej nie znają, niech przeczytają mistrzowskiem piórem Barthelsa napisany poemat *„Tydzień Poleski“*. Z lutni tego poety myśliwca spadają te opisy w kształtach tak szczytnych, wzniosłych i prawdziwych, że już żadne pióro inne o dalsze opisy kusić się nie może, i z rąk wypaść musi. — Przez tydzień, co nocy o trzeciej godzinie, gdy blask zorzy krańce wschodu rumienić poczynał, po godzinnym galopie na wybornym hucułku, w towarzystwie dwóch sąsiadów, którym przyjemność tych nie znanych mi dotąd łowów zawdzięczam, przesiadywałem do wschodu słońca w mojej budce, czatując na tokującego cietrzewia. Godziny wydawały się minutami, a wzruszenie ani o trudach, ani o bezsenności pomyśleć nawet nie dawało. Wrażenia te wywołane polowaniem na cietrzewie, nasunęły mi na myśl niektóre uwagi, któremi pragnę się podzielić z czytelnikami „Łowca“. Ustawa łowiecka rozciągnęła bardzo słusznie swą pieczę nad wszelkimi gatunkami ptactwa. Wzięła nawet w obronę bardzo wiele ptaków drapieżnych przez wzgląd na to, iż są pożytecznymi gospodarstwu krajowemu przez wyniszczenie myszy i rozmaitych szkodliwych owadów. Komuż z nas jednak nie wydarzyło się niejednego z tych uprzywilejowanych ptaków drapieżnych spotkać na zwłokach schwytanego zająca, kuropatwy lub innego ptaka? Myszy, robaki i inne owady są dla nich pokarmem w braku smaczniejszego jadła, Niemcy, którzy (w pokorze wyznać to musimy) pod względem znajomości łowiectwa wyżej od nas stoją, bezwzględnymi są wrogami drapieżnego ptactwa, i wszystko, co nosi krzywy dziób i szpony, jest przeznaczone zagładzie. U nas stosunki inne. Słusznie ekonomię w wyższym miano względzie — prócz wielu drapieżnych ptaków, nawet lisa, tego największego wroga chowu zwierzyny, oszczędzić umiano przez wzgląd na jego apetyt na myszy, które, sprzykrzywszy sobie coroczny pokarm z zajęcy i różnorodnego ptactwa, pod wiosnę zwykle dla urozmaicenia zajada jako przekąskę. Jeszcze szczęśliwszy los spotkał borsuka, tego nieużytego sybarytę, uznanego wszędzie za szkodliwego zwierza, a który wedle ustawy dziesięciomiesięcznej w roku używa ochrony. Lecz i w ludzkości często się to zdarza, że ludzie, żyjący z łupiestw i rozboju w danym razie uchodzą za dobroczyńcow. Cóż robić? wolno nam jako myśliwym nad tem ubolewać, ale jako agronomowie wszelką słuszność ustawie winniśmy oddać. — Nie dziw, że u nas, w kraju rolniczym, złożono ofiarę na ołtarzu gospodarczej bogini Ceres ze szkodą naszej umiejętnej bogini Diany. — To samo rzec by można o wielu ptakach wędrownych, które tu, pod opieką naszej Ustawy, bezkarnie po przed lufami strzelb naszych latają, a w swym przelocie, wybiegłszy po za granice, gdzie podobne przepisy nie obowiązują, pewną śmierć z broni obcej znajdą Ale takie jest przeznaczenie nasze. Zdawna było to naszym fatalizmem dziejowym, żeśmy zawsze byli nadto dobrymi sąsiadami dla naszych złych sąsiadów. Gdy wszelakoż Ustawa taką opiekę rozciąga nad ptactwem drapieżnem i wędrującem, o ileż ważniejszem jest zadaniem jeszcze, tę opiekę z największą rozciągnąć starannością nad owem ptactwem, które stale zamieszkuje nasze lasy i pola, a wędrówkami ustawicznemi nie naraża się na śmierć z rąk myśliwych, z wybrzeży Azyi mniejszej, Afryki, Szwecyi, Niemiec lub Syberyi. — Do rzędu tych stałych obywateli ziemi naszej, z ptaków myśliwskich, zaliczyć trzeba głuszca, cietrzewia, jarząbka i kuropatwę. Powinno być zadaniem myśliwych naszych, te szlachetne ptaki pilniej niż wszystkie inne strzedz od zagłady. Doświadczenie nas uczy, iż niektóre gatunki zwierzyny rozmnażają się w miarę postępu kultury i cywilizacyi, inne cywilizacya wygania. Do rzędu pierwszych zaliczyć można sarny, zające i kuropatwy, te zdają się szukać bliskości mieszkań ludzkich, w głębiach dziewiczych borów rzadko przebywają, kultura jest dla nich pomyślną. Głuszec, cietrzew i jarząbek — to odludki — tym szlachetnym ptakom zagraża zagłada w miarę, jak ubywa lasów w naszym kraju, i zaginąć mogą z czasem, jak żubry, tury i łosie w okolicach niegdyś przez nie zamieszkiwanych, jeżeli myśliwstwo, wspierając ustawę, dostatecznej nad nimi nie wywrze opieki. Ustawa bezwzględnie zabrania strzelanie samic głuszców i cietrzewi. Trzymajmyż się tego przepisu i to jak najściślej. Ale czyż ta ustawa szanowaną być może, jeśli nasi myśliwi pozwalają sobie w Lipcu i Sierpniu polować na wypióry z wyżłem pomimo tego, iż polowanie na cietrzewia dopiero we Wrześniu dozwolone? Czyż wtedy strzelec rozróżnić potrafi porwanego młodego koguta od kury? Nie — temu bezwzględnie zaprzeczyć musimy. Rzecz to wiadoma, iż przed dobrym wyżłem w Lipcu lub Sierpniu jeden myśliwy rankiem po rosie cały ród cietrzewi w swojej okolicy wyniszczyć może, a wtedy cóż pozostaje dla przyszłości? Wszyscy członkowie Towarzystwa łowieckiego, a mianowicie jego delegaci po powiatach, idąc w pomoc Usta-

wie, bardzo pilnie powinniby przestrzegać tego nadużycia. Oby też wszyscy nasi myśliwi chcieli sobie postawić za zasadę, iż ściśle przestrzegając ustawy, zaniechają tego rodzaju polowanie. Biedne młodociane cietrzewie, które się z pod nóg strzelca zrywają, a często przez wyżła w miejscu schwytane bywają, a do których strzelanie podówczas łatwiejsze, niż do przepiórek, przyjemności nawet pięknego strzału wtedy nie dają. Czyż nie lepiej je zaoszczędzić i strzelać je potem już dorosłe przed pogónką w jesieni, gdy koguta od kury odróżnić łatwo, lub doczekawszy się wiosny polować na nie na toku, co jest najwyższą w tym rodzaju polowania rozkoszą myśliwca! Równie jak strzelanie sarn i polowanie na zwierzynę w niestosownej porze, jest prócz gwałcenia Ustawy oraz przestępstwem i plamą myśliwskiego zawodu, tak strzelanie w locie głuszców i cietrzewi powinno się stać u nas czynem potępionym przez prawdziwych myśliwych Oby ta myśl, choć pobieżnie rzucona, znalazła poparcie u naszych łowców, dbałych o przyszłość zwierzyny! Oby ten głos mój nie był głosem wołającego na puszczy!

Leopold hr. Starzeński.

Dora 6. Kwietnia 1878.

Niedźwiedź brunatny (ursus arctos). Groźny ten nieprzyjaciel bydła po połoninach Karpat wschodnich, znajduje się w górach koło Dory, i w ogóle w całym naszym czarnohorskim pasie bardzo licznie. Szczególniej w r. 1876 okazały się niedźwiedzie liczniej, jak w latach poprzednich. W r. 1875 leśniczy ze wsi Zielonej, idąc śladem kradnących w lesie maliny, znalazł wśród malin dwa młode niedźwiedzie (tułukie) i oba zabił. Tenże sam i w tym roku w jednej z połonin, zabił starą niedźwiedzicę, która już na grzbiecie jednego wołu siedziała. Jak powiedziałem, szczególniej rozmnożyły się one w r. 1876, a skutkiem tego nadmiernego rozmnożenia się było, że huculi w tymże roku o wiele prędzej, jak zwykle, spędzili bydło z połonin do domu. Wtedy niedźwiedzie, nie mając już bydła w połoninach, poczęły schodzić w doły i tu napadać i wdzierać się do koszar z bydłem. W jesieni tego roku niedźwiedzica z młodemi zeszła aż do samej wsi Dora, a wdarłszy się do jednej zagrody, zabiła owcę, pastuchom udało się ją odpędzić, ale już następującej nocy, stanęło na zasiadce koło owcy dwóch strzelców: Iwan Pauluk, słynny strzelec, który w swem życiu 11 niedźwiedzi wyprawił na tamten świat, i właściciel owczarni — Pauluk z dubeltówką, a właściciel ze sztućcem. Całą noc czekali, ale nie było jej, aż kiedy słońce miało już wschodzić, usłyszeli niby szczekanie młodych psów, i wkrótce dwa młode stanęły przed nimi, ale starej nie było. Dość długo czekali, aż wreszcie kiedy znudzeni do młodych strzelić mieli, ukazała się i stara. Gdy wyszła, młode zaczęły z nią igrać, a kiedy śród igrania odsłoniła bok, obaj strzelcy, jakby na komendę, dali ognia, lecz tylko jeden ją zranił. Zraniona niedzwiedzica z rykiem wspina się na tylne łapy, a rozpostarłszy przednie kroczy naprzód na Pauluka. Ten zimno przyjmuje ją aż na 5 kroków, składa się i celnym strzałem powala ją na ziemię u nóg swoich. Za nią poszło jedno z młodych, a drugie uszło Był to z kolei 10 i 11 niedźwiedź zabity przez Pauluka. — Mniej szczęśliwie skończyło się polowanie w r. 1860 na niedźwiedzie w Jamnej. Wśród nagonki na jednego ze strzelców wyszedł niedźwiedź. Strzelec, uzbrojony w pojedynkę zmierzył się i strzelił, lecz tylko go zranił. Rozgniewany niedźwiedź rzuca się na strzelca, jedną łapą obejmuje go, a drugą schwyciwszy z tyłu czaszki, zdziera mu z głowy skórę aż po powieki. Powyżej tego strzelca stał ojciec Pauluka. Usłyszawszy strzał i krzyk strzelca, przybiega, uderza niedźwiedzia strzelbą, lecz lufa strzelby gnie się na głowie niedźwiedzia. Wtedy niedźwiedź, ujrzawszy nowego przeciwnika, puszcza tamtego i zwraca się ku nowemu. Podczas tego zbiegają się strzelcy i celnymi strzałami zabijają niedźwiedzia. Nieszczęśliwemu opatrzono ranę, ale we dwa miesiące po tym wypadku umarł. Podobny wypadek, o którym pan Hess już doniósł, zdarzył się w Sołotwinie. *K.*

M. 16. Kwietnia 1878.

Nie ma zapewne okolicy w Galicyi, w którejby kłusownictwo do tego stopnia było rozwinięte, jak kąt pomiędzy Wisłą a ujściem Sanu, tak zwana puszcza Sandomirska, obejmująca powiaty Kolbuszowski, Tarnobrzeski, Niżański i częściowo Mielecki. Kłusownicy bandami po dwudziestu i więcej nieraz strzelców liczącemi, robią formalne obławy po lasach, przyczem zachowują tę ostrożność, że występują w maskach lub z twarzami poczernionemi. Częste wypadki śmierci zdarzają się przy spotkaniach z lasową strażą, — ja sam straciłem przed 4 laty najwierniejszego leśnego. Klęska ta grasuje u nas w najlepsze, bo po miasteczkach starozakonni zawsze gotowi nabyć ubitą zwierzynę, a ustawodawstwo nie jest w stanie łagodnemi karami powściągnąć kłusowników. — Od niejakiego czasu zaczynają włościanie dzierżawić polowania na gruntach gminnych, a pod ich płaszczykiem poluje, kto chce. Posiadając lasy rozrzucone w obrębie sześciu gmin, dzierżawiłem dawniej wszystkie gminne polowania, płacąc po 6 do 15 złr. za każde, cenę aż nadto wygórowaną, gdy się zważy, że polowania te właściwie *żadnej* wartości nie mają, i jeżeli ponosiłem wydatek, to jedynie w tym celu, abym jako dzierżawca polowania na całem przyległem terytoryum mógł dozorować kłusowników. Otóż od lat kilku nie dopuszczają włościanie w wielu gminach właścicieli obszarów dworskich do dzierżawy, licytując niesłychanie wysoko. Były wypadki, że płacili czynszu 115 złr. i wyżej, obecnie płaci najbliższy mojego rewiru dzierżawca 50 złr., i to człowiek żadnego majątku nie posiadający. Zdziwiony taką hojnością zacząłem szperać, i dowiedziałem się, że istnieje formalny spisek przeciw właścicielom obszarów dworskich. Włościanin licytuje wysoko, składa czynsz, a gdy pieniądze zostaną gminie nadesłane, ta zwraca je dzierżawcy, w ten sposób dzierżawca nic nie płaci, a terytoryum gminne staje się wolnem polem dla kłusowników, którzy po pod lasy strzelają przez cały rok. W M., miejscowości powiatu Kolbuszowskiego dzierżawi w ten sposób polowanie niejaki K. N., włościanin, sam nawet nie myśliwy, jedynie dla ułatwienia polowania sąsiadom. Zniecierpliwiony kazałem w Lutym mieć na jednego z najniebezpieczniejszych kłusowników oko, i rzeczywiście trzech moich przysięgłych leśnych wypatrzyli, jak tenże, nazwiskiem Warchoł, strzelał zające. Zawiadomiłem o tem K. N. z upomnieniem, by Warchoła skarzył, do czego mu wszelkie dowody dostarczyć ofiarowałem się. N. naturalnie nie uczynił tego, w skutek czego przed kilku dniami wniosłem do starostwa w Kolbuszowy skargę przeciw obudwom — o kłusownictwo przeciw Warchołowi, a o nieprzestrzeganie ustawy łowieckiej przeciw N. — Rezultatu wyczekuję, a tymczasem uwiadamiam o tem. *C.*

Z nad Ropy d. 8. Marca 1878.

Daty dokładnej nie notowałem, mogę jednak zapewnić czytelnikw „Łowca", że o ile sobie przypominam, stało się to w dniach zeszłego miesiąca Lutego, kiedy grono, składające się z siedmiu osób tak zwanej inteligencyi sławetnego, a izraelowi

dobrze zasłużonego miasta Tarnowa z lekikm umysłem, bo nie obciężonym obowiązkami płacenia podatku gruntowego i rat przeróżnym bankom i kasom oszczędności, puściło się pewnego poranku na polowanie do wsi okolicznych, „by po miejskim bycie, pójść też zobaczyć, jakie na wsi życie. — Myszka Lizetka, która ongi podobną, jak ci panowie, choć bez Lankastrówki, przedsięwzięła peregrynacyę, złożyła jednak podczas niej o wiele więcej dowodów dobrego wychowania i poszanowania cudzej własności jak oni. Prawda, że wówczas, kiedy myszka Lizetka cieszyła się dobrem zdrowiem na tym padole płaczu, nie mieliśmy jeszcze ani komuny paryskiej, ani moskiewskiego nihilizmu, ani gburowatości liberalnej i rozpanoszonych Prusaków.— Otóż, owe grono siedmiu intelligentów izraelskiego miasta Tarnowa, pragnąc dowieść, że wyż wspomnione teorye mogą być już w r. 1878 w praktykę wprowadzone, z liczną czeredą najętych jako pogonka ludzi, wpadło do lasu w Brzezinkach, własnością p. Adolfa Jordana będącego, i tam w najlepsze gospodarować zaczęło à la Gurko w Bułgaryi. Pod humanitarnym pretextem uwolnienia z pod jarzma pana Jordana uciśnionych jego poddanych, zajęcy i lisów, a właściwie dla zatknięcia tych biedaków na swój własny rożen, rozpoczęli ci panowie wprawdzie nie szkodliwą, ale strasznie hałaśliwą pukaninę do uciekających i z przestrachu w poły już martwych zajęcy i lisów, które zadarłszy do góry ogony, pędziły co sił stało do właściciela owego lasu, by przed jego oblicze wnieść *en masse* najsolenniejszą protestacyę przeciw owym oswobodzicielom i przeciw naruszeniu ich lisiego i zajęczego spokoju. Zanim jednak zjajane zające miały czas przygotować protestacye, opatrzyć ją marką stemplową, według skali II., jak chcą mieć przepisy, zanim znów p. Jordan zebrał się na odwagę, by zwołać swój parlament. i zażądać od tegoż kredytu dla obrony *de ses lièvres en danger*, przywlekło się do dworu dwóch dozorców owego lasu, zbitych już na kwaśne jabłko przez intelligentów tarnowskich, którzy jako konsekwentni wyznawcy teoryi pana Bismarka *beati possidentes*, rzucili się bohatersko we dwudziestu, bo i pogonkę w pomoc wezwali, na owych dwóch leśnych, i uraczyli ich tak hojnie kijami za to, że ci w prostocie ducha, capnąwszy za kark pierwszego intelligenta, który im się nawinął, spytali go uniżenie, kto mu dał prawo po cudzych gruntach polować. Z ust owych bohaterów dowiedzieli się zaś poturbowani na ciele i honorze leśni dość interesującej wiadomości, a mianowicie, że panowie ci byli urzędnikami, i że *par consequent*, wzbraniać im rozrywki polowania w swoim lesie, żaden właściciel w królestwie Galicyi i Lodomeryi nie ma prawa. Zdaje się więc, że właściciele obszarów o tym ciekawym szczególe nie wiedzieli, spodziewać się przeto należy, że po tej nauce, danej im ze strony wykonawców prawa, będą się odtąd strzegli wysyłać swych leśnych, naprzeciw w ich lasach polującym urzędnikom inaczej, jak z zapasem pary garncy kontuszówki, bigosu z kiełbaskami lub zrazów à la Nelson, dla podniecenia ich animuszu myśliwskiego. Wystąpienie zaś właścicieli obszarów w kierunku przeciwnym, wysłanie np. leśnych nie tylko bez bigosu i zrazów, ale, czego Boże obraniaj, w celach opozycyjnych, jak to capnięcie Lankastrówek polujących urzędników itp., zmusiłoby zapewne tych panów do nietolerowania już więcej insolencyi właścicieli, i zaaplikowania prawa, na mocy którego właściciele większych obszarów na swych własnych gruntach wzbronione mają polowanie, z którego wyłącznie korzystać tylko mogą i jako *passe-temps* dla siebie używać, panowie urzędnicy, księgarze itp. — Złożywszy żarty na stronę, dla złagodzenia niemiłego wrażenia, jakie postępek tych panów w każdym wywołać musi, dodać tu musimy, że w drodze urzędowej surowo skarceni zostali. Resztę zaś ma podobno załatwić sąd Tarnowski, a że ten nie słynie, jak ów w B., wzmiankowany w Nr. 3. „Łowca", z delikatnej procedury z wyznawcami Prudhona i Neczajewa, można mieć nadzieję, że miejskim Lizetkom odejmie na dłuższy czas ochotę do wypraw pozarogatkowych, i urządzania sobie rozrywek na cudzych gruntach.

B. Jordan.

Żurawno d. 4. Maja 1878.

Nie przesadzimy wcale utrzymując, że od samego niemal początku świata, — pies był zawsze wiernym towarzyszem, sługą i przyjacielem człowieka. Świadczą o tem przedwiekowe zabytki, dowodzą ścisłe badania naukowe, na podstawie których wiadomo, że gdziekolwiek daje się odkryć ślad przedwiekowego pobytu człowieka na ziemi, — tam niezawodnie i kości psa się znajdą, tak dalece, że po tej jednej oznace można z pewnością niemal wnosić, iż w danem miejscu, przed secinami, lub tysiącami lat nawet przebywał człowiek.

Rozumne to, zmyślne i piękne, a przytem tak szlachetne stworzenie, któremu człowiek nie samą tylko przyjemność i rozrywkę niejedną, lecz nieraz życie swe zawdzięcza, z tego właśnie powodu, że żyje pod wpływem warunków otaczających człowieka, — ulega licznym chorobom, co do przebiegu i charakteru swego zbliżonym do chorób ludzkich, — o których jednak, z pomiędzy licznych posiadaczy psów (w jednem m. Lwowie liczba opodatkowanych psów wynosi do 3000), zaledwie setny, a może nawet tysiączny zaledwie jakie takie posiada wyobrażenie. *) Nieraz się też zdarza, że chory pies — niesłusznie podejrzany o krnąbrność itp., oprócz cierpienia fizycznego, znosić musi daleko cięższe cierpienia moralne (które doskonale rozumie i pojmuje) widząc, że zostaje karanym niesprawiedliwie, i za swe przywiązanie bez granic odbiera oznaki gniewu i niezadowolnienia swego pana za to tylko, że jest cierpiącym... A ileż to psów, które bez żadnej przesady zasłużyły na nazwę *przyjaciela* sami wydajemy w ręce oprawcy, lub w inny sposób pozbawiamy je życia, dla tego tylko, że dzięki niewiadomości naszej, podejrzywamy je o wściekliznę, lub inną jaką niebezpieczną dla człowieka chorobę, — gdy tymczasem umiejętne rozpoznanie rzeczywistego cierpienia i wczesny, a stosowny ratunek nieszczęsną ofiarę nieuctwa naszego od śmierci, nas samych zaś ochroniłyby nieraz od spełnienia koniecznego wprawdzie na pozór, ale bądź co bądź barbarzyńskiego postępku, od boleści podpisywania wyroku śmierci na najszczerszego niewątpliwie, bo *nieobłudnego*, bezinteresownego przyjaciela naszego, stróża i towarzysza, zwłaszcza każdego myśliwego, — od boleści dopuszczenia się poniekąd zdrady nad istotą, która jedna tylko nigdy jeszcze nie zdradziła i nie zdradzi człowieka.

Niejeden wprawdzie myśliwy samej przezorności i osobistemu bezpieczeństwu, że już nie mówię ludzkości gwoli, chętnieby przyswoił sobie odnośne wiadomości lekarskie, gdyby środki były po temu. Niestety jednak, literatura nasza nie posiada dotąd dzieła, lub dziełka, a to ani w oryginale, ani w tłumaczeniu, któreby pod tym względem potrzebom publiczności jako tako odpowiedzieć mogły. Po dawnych dziełach gospodarsko-rolniczych itp. znajdują się wprawdzie tu i ówdzie pobie-

*) Czem jest pies dla myśliwego, — nad tem rozwodzić się nie trzeba. Ale czyż myśliwi, którzy powodzenie na łowach li tylko sprytowi psów zawdzięczają, dostatecznie zastanawiają się nad środkami, jakimi te szlachetne zwierzęta w razie choroby ich uratować mogą?

żne wzmianki o chorobach psa, pisane po większej części przez diletantów na tem polu, których rady już dla tego samego wszelką niemal wartość tracą, że opierają się nie na umiejętnie wyrozumowanych, sprawdzonych i experymentami popartych podstawach, ale po prostu na bezmetodycznych, że tak powiem na los szczęścia, na oślep robionych spostrzeżeniach, z których wyradzają się nawet takie absurda, że zdarza się czasem czytać radę, jak postępować należy w chorobie, która bądź wcale nie istnieje w rzeczywistości, bądź też czytający nie posiada najmniejszej pewności i gwarancyi, czyli w danym wypadku rozpoznana a raczej przypuszczona choroba jest rzeczywiście tą samą, za jaką ją bierzemy, lub nie? (jak się to z rozpoznawaniem wścieklizny zwłaszcza, na podstawie symptomatów wspólnych wielu innym chorobom, na każdym kroku zdarza.) Powtóre rady owe — co jest rzeczą zkądinąd bardzo naturalną — noszą zwykle na sobie cechy dawnej, czysto-empirycznej medycyny, z czasów kiedy jeszcze nie pojmowano nawet całej wagi naukowo-praktycznej badań pośmiertnych, — podczas gdy dzisiejsza medycyna, tak dobrze jak i weterynarya, opierają się na całkiem odmiennych, racyonalnych podstawach, bez poznania których, nie bardzo sumienną jest rzeczą zabierać się do leczenia nie tylko człowieka, lecz i zwierzęcia nawet...

Do powyższej niedogodności przyłącza się u nas jeszcze brak wielki istotnie wykształconych i postępowych weterynarzy, ci zaś diletanci, kursujący u nas, którzy sobie ten tytuł bezprawnie zgoła, bez żadnych odpowiednich studjów i gwarancyi przywłaszczają, zasługują raczej na nazwę rzeźników, aniżeli rzeczywistych weterynaryo-lekarzy.

Otóż ażeby temu tak dotkliwemu dla każdego właściciela psa niedostatkowi bodaj w małej cząstce zaradzić, Dr. Rudnicki zamieszkały obecnie w Żurawnie, przełożył na język polski, za zezwoleniem autora, dziełko Adjunkta Instytutu weterynaryi w Wiedniu, p. Kohnhäusera, pod tytułem *„Choroby psa“*, które to dziełko względom Szanownych Członków Towarzystwa łowieckiego jak najusilniej polecam, i upraszam Szanowną Redakcyę „Łowca“ o pośredniczenie w przyjmowaniu prenumeraty, która wynosi 1 złr. w. a.

Dziełko to odznaczają przeważnie dwie, nader pożądane zalety, a mianowicie: zwięzłość i ścisłość wykładu, obok możliwego w tak nieznacznych rozmiarach (około 11 arkuszy wielkiego druku) wyczerpania przedmiotu; — powtóre styl jasny, a zastosowany do pojęć i wiedzy nielekarskiej publiczności. Jednem słowem jest to w całem znaczeniu popularno-naukowe dziełko, które wprawdzie nikogo na weterynarza w całem znaczeniu i choćby tylko w zakresie chorób psa niewykształci, ani też jest zdolne zastąpić go w cięższych, wątpliwych wypadkach, mimo to jednak powszednim, zwykłym potrzebom każdego gospodarza, każdego właściciela psa odpowiada ono, o tyle oczywiście, o ile na to dzisiejszy rozwój nauki na tem polu zezwala.

Poświadczyć mogę, iż Dr. Rudnickiemu o co innego nie szło, jak tylko o początek przynajmniej, o inicyatywę w tego rodzaju pracach. Raz istniejący, choćby nawet z tej lub owej racyi nieco wadliwy; ostatecznie nie wyczerpujący przedmiotu, ale systematycznie i na podstawach ściśle naukowo-praktycznych ułożony podręcznik, oprócz innych korzyści i tę może przyniesie, że każdy przyszły autor będzie miał ułatwione zadanie, posiadając chociażby tylko szkic zupełny, który w miarę potrzeby rozszerzyć, uzupełnić i wykończyć może. Prywatnemu zaś czytelnikowi również daleko łatwiej będzie dopełnić zkąd inąd brakujących mu szczegółów rozmaitych itp., posiadając umiejętną podstawę do sądu o rzeczach, do oceny nie tak łatwych do zrozumienia faktów, jak to wielu sądzi.

Krótkość, zwięzłość dziełka tego, — jako pierwszej w tym rodzaju nowszej książki u nas, stanowi — co każdy przyzna — jedną może z największych jej zalet.

Dr. Rudnicki podjąwszy się tej pracy, która mu oczywiście ani sławy najmniejszej, ani korzyści materyalnej nieprzysporzy, czyni to tylko w imię ludzkości, która i do opieki nad zwierzętami nas zniewala, jako też w imię publicznego dobra. Dla tego też składając do skarbnicy powszechnej ten dar swój, jakkolwiek maluczki i skromny, winien liczyć na to, że takowy nie będzie wzgardzonym, ale chętnie przez łowców naszych przyjętym zostanie.

Dodać tu muszę, że oprócz wiernego przekładu oryginalnego tekstu, tłumacz widział się zniewolonym do porobienia niektórych uwag i dopisków w odsyłaczach, li tylko w tym celu, aby ułatwić zrozumienie treści głównej tym czytelnikom, dla których nauki przyrodnicze i lekarskie zgoła obcemi być mogą.

Tadeusz Chajęcki.

KRONIKA.

W Nr. 115. z d. 3. Marca 1878 pisma Warszawskiego p. t. *Biesiada* znajdujemy wzmiankę o „Łowcu“, nakreśloną przez naszego znakomitego Kraszewskiego, którą się z czytelnikiem dzielimy:

„Z pism peryodycznych, które o nowym roku się narodziły na świat, zasługuje na wspomnienie we Lwowie zapowiedziany „Łowiec“. Numer jego pierwszy, który już wyszedł, jest jakby tylko wezwaniem wszystkich pióro trzymających Nemrodów naszych do czynnej kollaboracyi Sądząc z tradycyonalnego u nas miłośnictwa łowów i liczby myśliwych, możnaby pismu, poświęconemu tej rozrywce rycerskiej, wróżyć wielkie powodzenie, mnogich czytelników i współpracowników. Gdyby „Łowiec“ dawał tylko przedruki tego, co dawniej u nas o psiech gończych, o ptakach, o zabawach łowieckich aż do czasów Haura i jego Ekonomiki drukowano, starczyło by to na uczynienie pisma zajmującem i szacownem. Haur pisząc już tak poźno, ma wiele rzeczy ciekawych, jako tradycye, szczególnie o łowach z ptakami, dziś zupełnie już zarzuconych. U niego się uczyć trzeba, jak ptaki noszono i wyprawiano i jak ich zażywano. Oprócz tego „Łowiec“ ma obszerne pole, bo i lasy i stawy a rybołowstwo nie powinny mu być obcemi. Lecz znajdzież czytelników? That is the question. Myśliwi zawsze słynęli z żywej w opowiadaniach fantazyi i twórczej siły, ale z wielkiego zamiłowania do drukowanego papieru znani nie są. W każdym razie życzymy „Łowcowi“ powodzenia, nie śmiejąc mu go wróżyć.“

Tyle rzekł nasz przezacny i powszechnie wielbiony Kraszewski po odczytaniu pierwszego numeru „Łowca“. Dziękujemy mu serdecznie za owe słowo zachęty. Uznajemy w pełni prawdę, wyrzeczoną w tych niewielu słowach, a wskazówki cenne przyjmujemy z wdzięcznością. Następne numera pisma naszego, świadczące o żywym współudziale naszej społeczności łowieckiej w tej pracy, poświęconej dobru powszechnemu, może utwierdzą w nim wiarę, iż i my na naszym, lubo mniej ważnym posterunku, wytrwale i z pożytkiem działać pragniemy, że „Viribus unitis“ dojdziemy do celu, jakiśmy sobie w zakresie naszym wytknęli! —

Zwracamy uwagę sz. czytelników na korespondencyę z Żurawna, oraz zapraszamy ich do składania w Redakcyi „Łowca“ prenumeraty na dzieło, którego potrzebę myśliwi i amatorowie psów niezawodnie uznają. Upraszamy również redakcye: Miesięcznika Tow. ochrony zwierząt, i pism innych, aby czytelników swoich o rychłem pojawieniu się dzieła tego uwiadomić i do prenumeraty wezwać raczyły.

O zimowym stanie zwierzyny w lasach J. E. hr. Włodz. Dzieduszyckiego w okolicy Sokala.

Na łaskawe zapytanie o dzikach i zimowym stanie zwierzyny — mogę przesłać dokładne sprawozdanie, przy codziennem bowiem obchodzeniu lasu tropią gajowi dziki, a następnie zapisuje się liczba ich

w każdym dniu. — Rok ubiegły bogaty był w żołądź, która też przeważnie służyła przez całą zimę tak dzikom jako też sarnom za główne pożywienie, i tylko w porze wielkich zaspów śniegowych zabieżały ostatnie do podrzuconego im siana, a porzucały je natychmiast, skoro śniegi o tyle zniknęły, iż mogły łatwiej dogrzebać się żołędzi. — Ogólna ta obfitość pożywienia sprawiła, iż dziki, trzymając się w trudniejszych do wyżywienia latach w wielkich kniejach, porozchodziły się tego roku po małych laskach, nie zimowały i nie trzymały się w sosninach, a zaskoczone w Styczniu przez nawały śniegowe, nie odbywały zwykłych swych wędrówek za żerem, lecz pozostały tam, gdzie je śnieg zaskoczył. Stan ten trwał prawie aż do końca zimy. Jako dowód dla powyższego podania mego, przytaczam stan dzików w lasach naszych, w których podczas wielkich śniegów żadne prawie nie zachodziły zmiany, a dziki stale trzymały się w kniejach:

W lesie *radwanieckim* było 6 stadek w liczbie około 50 dzików.

W lesie *poździmirskim*, przeważnie sosnowym, nie było żadnego stadka, tylko kilka odyńców.

W lesie *poturzyckim* były trzy stadka i kilka odyńców — około 20 sztuk, — wreszcie:

W lesie *skomoroskim* jedno stadko około 9 sztuk.

Po kilka, nawet kilkanaście dni nie ruszały się dziki te z miotów, lub robiły 100 do 300 sążniowe wędrówki, zaś dziki poturzyckie przez całą zimę nie przekroczyły ani razu obrębu 500 morgowego, żerując stale tylko na tej przestrzeni.

Wilki w kilkunastodniowych przerwach, najczęściej pierwszej nocy po polowaniach w sąsiednich lasach *wolickich*, zjawiały się w kniejach naszych, polując na postrzeloną i do nas zbiegłą zwierzynę, najczęściej na sarny — zawsze prawie z pomyślnym skutkiem, czego ślady rano, przy poszukiwaniu za wilkami i postrzeloną zwierzyną, znachodziliśmy. Myśliwego idącego choćby najraniej za tropem postrzelonego kozła, uprzedza wilk, który widocznie zwabiony strzałami przychodzi po łatwy i pewny łup. Zapobiedzby temu można, zwłaszcza co do kozłów, iżby do nich strzelano kulami, mianowicie wieczorem, lub żeby o tej spóźnionej dnia porze wcale do nich nie strzelano.

Stan *sarn* jest bardzo pomyślny. Mimo ciężkiej zimy sarny dobrze przezimowały, i jest ich wiele.

Zające ciężką przebyły zimę. Kto nie podrzucał im siana, pewnie znaczną ich liczbę utracił. Właściciel Świtarzowa, w chwilowym braku siana, dawał zającom owsiankę, którą bardzo chętnie zjadały, i tym sposobem uratował je w porze nawalnych śniegów od głodowej śmierci. — Bardzo dobrze zimowały zające w pobliżu umyślnie dla nich sianego *spartium scoparium* — krzew ten bądź z wierzchu, bądź przez tunele w śniegu przez zające utworzone, został przez nie do korzonków ogryziony.

Lisów w naszej okolicy prawie nie ma, od dawnych bowiem lat liczni zwolennicy trucia lisów wygubili je zupełnie.

Kun leśnych spotkaliśmy częste ślady, lecz każdy ochotnik, puszczający się za tropem kuny, wracał bez skutku z połowy drogi, znużony pochodem w głębokim śniegu. *Fabiański*, nadleśniczy.

Od Sokala.

Cietrzew. W lesie jastrzębiecko-wolstwińskim, należącym do gminy włościańskiej, zabił 19. Kwietnia pewien włościanin cietrzewia i sprzedał go żydowi Krystynopolskiemu za 30 centów. *F.*

Kopeczyńce w Kwietniu 1878.

Prawdziwi myśliwi starają się usilnie tępić wszelkimi możliwymi sposobami lisa szkodnika, który nie tylko drobną zwierzynę niszczy, ale nawet śród sarn pastwę wybiera dla swej żarłoczności. Przekonałem się o tem dawniej, jako też w tym roku, rozkopawszy bowiem jamy lisie, położone na łanie, przypierającym do lasu, znalazłem w nich ośmioro młodych lisiąt, mnóstwo różnorodnego pierza, skoków zajęczych, a obok tego wszystkiego trzy raciczki młodych sarniąt. Bez litości więc prześladować należy owych rabusiów, a ku temu celowi służą żelaza, strychnina, doły, a wreszcie budy, z których przy świetle księżyca przywabione padliną lisy wygodnie strzelać można. Dziać się to powinno w każdej porze roku, a niestety u nas dotąd mało kto trzyma się tej zasady, a to z tej głównie przyczyny, że nie ma nadgrody pieniężnej za tępienie owej szkodliwej zwierzyny, a skóra lisia w lecie nie wiele warta, więc też chciwi zysku leśnicy ochraniają w lecie lisa i płód jego, aby w zimie większą z niego mieć korzyść. Wreszcie już to do uświetnienia rezultatu polowania należy, gdy obok znacznej liczby rogaczów i zajęcy, kity lisie rozłożone są w szeregu ubitej zwierzyny. Wszystkie te względy ustąpić powinne w obec szkodliwości dla ogólnego zwierzostanu owego rabusia, a już z zupełną bezwzględnością tam, gdzie się bażanty i kuropatwy hoduje. Zasiadki w budach w pobliżu padliny najskuteczniej tępią najdrapieżniejszych szkodników, jakimi są lisy i wilki. Pewnego razu, na pięknej ponowie, dwa wilki przyszły do takiej padliny. Pobereżnik, mający obowiązek doglądania takiej podrzuconej padliny, przybiega zdyszany z wiadomością, że dwa wilki pół jałówki zjadły i w Jabłonowskie lasy poszły. Było to około południa w sobotę — mnóstwo zajęcia przed niedzielą, brak pod ręką myśliwych, nie pozwalały ścigać wilków. Wszelako z praktykantem i gajowym bez strzelby ruszam na miejsce wskazane, posyłam 5 sani po nagónkę, a przybywszy do lasu obchodzę z praktykantem stumorgową może przestrzeń lasu Jabłonowskiego i przekonuję się, że w istocie dwa wilki w niej zalęgły. Tymczasem nadjeżdżają sanie z nagonką, złożoną z 10 chłopów. Chcąc ile możności okrążyć miot, rozstawiam w odstępach fury, a ponieważ tak mało ich było, umieszczam na pogranicznym kopcu sztucznego chłopa, uformowanego z koła osikowego w kształcie krzyża, na który wkładam czarny sierak, a na wierzch kapelusz chłopski. Manekin ów dobrą zrobił usługę, jak później nadmienię, wiatr bowiem poruszał nim i odwiewał poły sieraka, tak, iż się zdawało, jakoby w istocie żywy człowiek tam stał. Pięciu chłopów rozstawiłem na prawem skrzydle, drugich pięciu wysłałem w północną stronę jako nagónkę, ja zaś z praktykantem stanęliśmy od Jabłonowskiej granicy. Skoro nagónka się odezwała, wilki rzuciły się ku prawemu skrzydłu, lecz tam wszczęty hałas chłopówna pędził je na fury, zkąd popłoszone zwróciły się rzadko podszytym lasem ku manekinowi, przed którym stanęły, i przypatrywały mu się przez chwilę. Wszystkie te zwroty wilków widzieliśmy doskonale. Gdy tak ze wszystkich stron były niepokojone, obróciły się ku nam, a rozdzieliwszy się, wypada wilczyca na praktykanta, który jedną kulą ją powala, wilk zaś na 30 może kroków wychodzi na mnie — wziąwszy go spokojnie na cel kładę go na miejscu trupem. Tak więc nadspodziewanie polowanie nam się udało, w krótkim bowiem czasie udało nam się szczęśliwie obłowić pożądaną i niezwykłą zdobyczą, a lasy nasze uwolnić od krwi chciwych drapieżców. *F. S.*

Od Sokala.

Ciąg słonek. Jak załączony wykaz słonek widzianych i słyszanych wskazuje, policzyć należy tegoroczny ciąg do średnich, gdyż oprócz początku t. j. od 3. do 6. i od 14. do 16. Kwietnia nie było prawie ciągu słonek, mimo bardzo pięknej i ciepłej pory. Od 15. Kwietnia począwszy rzadko która słonka chrapała, chociaż ciągnęły pojedyńczo, i raz tylko 15. Kwietnia dostrzegliśmy 5 razem ciągnących i ćwirkających słonek — były to samica i cztery samce.

Wykaz ciągu słonek w lesie radwanieckim i pozdzimirskim na wiosnę 1878:

	Słonek		padło strzałów	ubito
	słyszano i widziano	strzelano		
23go Marca	2	1	2	1
28go „	4	2	3	1
30go „	1	1	1	—
1go Kwietnia	1	—	—	—
2go „	5	3	4	1
3go „	9	3	4	1
4go „	12	6	8	4
5go „	13	4	6	2
6go „	7	2	3	1
7go „	4	1	1	—
8go „	11	3	6	1
9go „	5	1	1	1
10go „	3	2	2	1
11go „	12	3	4	1
12go „	6	2	2	—
13go „	10	4	5	1
14go „	9	2	3	1
15go „	13	6	8	3
16go „	12	3	5	1
17go „	13	4	6	2
18go „	8	2	4	—
19go „	6	2	2	—
20go „	7	2	2	1
	175	59	83	24

F.

Olejów.

Ciąg słonek. — 31go Marca 1, zab. 1; 1go Kwietnia 1, zab. 1; 3go 3, zab. 3; 4go 2, zab. 1; 5go 10 —; 6go 5, zab. 2; 8go 5, zab. 1; 10go 5, zab. 1; 11go 4, zab. 3; 14go 4, zab 4; 20go 6, zab. 3 — ciągnęło 46, padło 20. *Kazim. hr. Wodzicki.*

Jasionów d. 15. Kwietnia 1878.

Zbliża się czas, w którym przywozić będą wilcze szczenięta celem uzyskania premii Towarzystwa. Do tej chwili nie wiem, czy Namiestnictwo u starostw poparło rezolucyę na ogólnem zebraniu uchwaloną, aby starostwa ex offo uwiadomiły gminy i obszary dworskie o delegacie Towarzystwa łow. i o płaceniu premii przez delegata za wilczęta. Również nie mam wskazówek, okólnikiem Wydziału obiecanych, co do sposobu poznawania wilcząt. Śmiem poddać Wydziałowi myśl premiowania leśniczych rzeczywiście myśliwstwu zasłużonych, nie tylko premią pieniężną, ale i darem innym, jak np. kordelasa, specyalnie na ten cel zrobionej szpilki i t. p. Sam mam leśniczego, który premii pieniężnej nie weźmie, a któryby pod każdym względem na premiowanie i odznakę zasługiwał. W razie, gdyby Towarzystwo inne premie dawało, nie znosząc pieniężnych, podam nazwisko leśniczego i tytuły, które go mojem zdaniem do odszczególnienia kwalifikują. *Wł. Gniewosz.*

Wyjmujemy z „Kłosów“ z r. 1876 następne ciekawe podanie o polowaniach na dziki:

„Dawniej myśliwiec, mając wprawione psy po temu; brał żywcem z zapadłych kniei ogromne odyńce. — Starzy myśliwi mawiali: gdy idziesz na niedźwiedzia, gotuj łóżko — a na dzika mary, bo uważali łowy na ostatniego zwierza za grożące śmiercią. W końcu zeszłego wieku i na początku naszego żył w Kaliskiem pod Kutnem szlachcic Roch Białkowski, sławny myśliwiec, obdarzony nadzwyczajną siłą. Ten brał zawsze żywcem dziki. Miał wprawne kundle i ogary, które, gdy poruszono zwierza, osadzały go zaraz na miejscu; wtedy pan Roch dosiadł go, kły wybijał rękojeścią kordelasa i sznurem surowcowym skrępowawszy go, rzucał na wóz lub sanie, przywożąc do swego dworu na podziw czeladzi, krewniaków i zebranych gości, którzy z całej okolicy zjeżdżali ochotnie na to widowisko. — Myśliwi używali też i drugiego sposobu: — Gdy psy dzika przytrzymały, wsiadał na grzbiet jeden z wprawniejszych, w kaftanie z grubej skóry z kapturem, zwierz puszczony biegł szalenie w największym gąszczu, wtedy strzelec krótkim kordelasem wypuszczał zeń trzewia, i w niewielkiej lasu przestrzeni kończył tę niebezpieczną gonitwę. Taki kaftan z surowcowej skóry, przechowywano na Podlasiu w Krzesku, u państwa Niemirów jako ciekawą pamiątkę. Mniej pragnący mieć zachodu, za osadzeniem dzika, podobnym obosiecznym kordelasem zadawał cios śmiertelny jednem pchnięciem i powalał zwierza na miejcu.

Nadleśniczy w dobrach Nustor, w Slawonii donosi o łowach na wilki. W Ostrawskim lesie obtropiono 23 wilków. Zebrano natychmiast myśliwych za mało, bo tylko sześciu. Skoro nagonka się odezwała, ruszyły wilki w całym pędzie na linię myśliwych, którzy ich gęstym, około 10 minut trwającym plutonowym ogniem powitali. Niestety śród małej liczby strzelców większa część była dyletantów, którzy niegodziwie pudłowali. Padło wszakże 7 sztuk, a kilka postrzelono.

Jagd-Zeitung.

W Lotaryngii ubito od 1 Maja 1871 do 30. Kwietnia 1872: 44 wilków, 38 dzikich kotów i 404 dzików; w 1873 76 wilków, 27 dzikich kotów i 791 dzików; w 1874 45 wilków, 25 dzikich kotów i 285 dzików. Dwa ostatnie lata wykazują podobne liczby. *Jagd-Zeitung.*

KALENDARZ MYŚLIWSKI.

CZERWIEC.

Łoś. W końcu miesiąca głowa łosia pokrywa się krótkim włosem na czole, nieco wichrowatym, pysk aż po nozdrze jest ciemno-brunatnego koloru. Wydawanie płodu trwa do połowy tego miesiąca. Staremu łosiowi odrastają nowe rogi i do zupełnego dochodzą kształtu. Mięso dorosłych samców zaczyna być najsmaczniejsze, jest to najlepsza pora do polowania na tę zwierzynę (samce). U samic, z przyczyny karmienia dzieci, mięso jest chude i nie tak smaczne. Łosięta zaś są także bardzo smaczne, ze względu jednak na gospodarstwo zwierzęce polowanie do końca tego miesiąca nie powinno być wykonywane. Jeleń. Łanie młodsze wydają płód. Rogacze zmieniają farbę, u starego odzyskane rogi zupełnego nabierają kształtu, obciera z nich skórę o drzewa i krzewy. Polowanie na rogacze odbywa się ciągle, równie jak na młode łanki i cielęta. Sarna kończy w tym miesiącu kocenie się. Żeru szuka w świeżych cięciach z latorośli, i na polach w pszenicy, owsie i grochu, szuka także ziół dobrych i odwidza lizawki. Kozły chodzą z młodemi sarnami i swawolą z niemi. Stare kozy wodzą swoje młode. Dziki szukają szczególniej ziół i korzeni w nizinach, lecz i na polach w zbożu żywią się. Przebywają jeszcze w gęstwinach, maciory zaś z swemi prosiętami łączą się z jałowemi świniami. Zające nie przestają kocić się, szukają pożywienia w obsiewach polnych, chowają się w polu i w brzegach kniei. Drapieżne zwierzęta łapią młodą zwierzynę, i żywo je dzieciom swoim przynoszą, wprawiając je do duszenia. Borsuk żywi się po większej części robakami, chrząszczami i ślimakami. Głuszec i cietrzew mają młode, pierwszy szuka z dziećmi jajek mrówczych, drugi wpada w zboża. Głuszec samotnie żyje, a samica wodzi młode. Cieciórka bawi się z młodemi w gęstwinie. Jarząbek przebywa z młodemi w gęstwinach i napada na zboża. Kuropatwy z dziećmi swemi przebywają w polu na zbożach. Słonka, dzikie kaczki i gołębie mają młode. Przepiórki naniesły jajek. Bocian siedzi na jajach, a Czapla z gniazda młode wywodzi. Kukułka podkłada swoje jajka do wylężenia drobnym ptakom, owadami żywiącym się.

Utrzymanie zwierzyny i polowanie. Koryta do pojenia i kałuże czyścić trzeba, lizawki odświeżać. Młodych wilków usilnie szukać i zabierać je, lisie jamy pilnie także zwidzać, i młode lisy wyśledać i zabijać. Młode ptaki drapieżne, które w tym miesiącu rodziców opuszczają, trzeba podchodzić i zabijać. Sarny przy dobrej karmi nabierają skromu, można więc po św. Janie strzelać kozły, *) lecz polowanie z psami cierpiane być nie może.

OGŁOSZENIA.

Szanownym członkom Tow. łow., którzy dotąd wkładki za rok 1877/8 nie wpłacili, posyłamy Nr. 6. „Łowca“ wraz z uwiadomieniem, iż w razie nieuiszczenia wkładki, będziemy zniewoleni na mocy §. 6. statutu uważać ich jako występujących z grona Towarzystwa, i że dalszych numerów „Łowca“ nadsyłać im nie będziemy.

Przypominamy sz. członkom Tow. łow. jakoteż prenumeratorom półrocznym, iż pierwsi z dniem 1. Lipca winni wpłacać wkładki roczne, drudzy odnowić dalszą prenumeratę.

Wbrew uchwale Wydziału Tow. łow. pojawia się Nr. 6. „Łowca“ w objętości dwuarkuszowej — zawdzięcza on ową rozszerzoną treść swoją szczodrobliwości hr. Romana Potockiego, który przyrzekł opłacić nadwyżkę kosztów druku, ilekroć tego istotna potrzeba wymagać będzie.

*) Co do strzelania w kniei o tej porze mówi Kalendarz bezwzględnie, ze stanowiska ściśle łowieckiego — nas obowiązuje ustawa, której przestrzegać należy.

Odpowiedzialny za redakcyę Wład. Zontak ul. Teatralna Nr. 18. Nakładem galic. Towarzystwa łowieckiego.
Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Żorża.